

PISMO DLA RODZIN.

№ 21. Warszawa, dnia 15 (27) Maja 1875 roku. **Rok 11.**

CENA PRENUMERATY

W Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.	
rocznie. . . .	rs. 6 k. „	rocznie . . .	rs. 8
półrocznie. .	„ 3 „ „	półrocznie .	„ 4 k. „
kwartalnie. .	1 „ 50	w Austryi roczn.	14 guld.
miesięcznie .	„ 50	w Prusach „	24 marek.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12 w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 15.

OMANKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Jana Zacharjasiewicza.

(Ciąg dalszy.)

— Ach to herezyja dzisiejsza z temi gniazdami! Każda panna chce od razu świetnie wyjść za mąż — chce świetnego ślubu — chce świetnych biuletynów o majątku lub dochodach męża — salonów pierwszo-piętrowych i żurfiksów!... Nie dziw więc że mężczyzna gdy jest młody nie myśli o żeniaczce tylko o groszu i karyjerze, a że grosz i karyjera wtedy dopiero do człowieka przychodzą, gdy już siwy włos gospodaruje na głowie — młoda mężatka znajdzie więc wtedy u niego wszystko to, czego tak gorąco pragnęła prócz tego, co w ciągu tego czasu już się roztrwoniło... Serca przecież zamknąć na kłódkę nie można, a żywić je tymczasem jakim surogatem, to znaczy znieczulić je na wszystkie późniejsze specyjały... Tak się u nas zawierają małżeństwa, a winna temu kobieta!... Zgrozą bowiem byłoby dla niej rozpocząć żywot małżeński od skromnego poddasza a powoli schodzić na niższe piętra!

— Swięta prawda! zauważył kasyjer i złożył ręce jakby do modlitwy.

— Dzięki Bogu — Salomea czekać niepotrzebuje takiego męża, który wprzódy musiałby się dorobić. Ma ona kawałek chleba i chętnie podzieli go z tym, który jeszcze na ten chleb nie jest w stanie zarobić. Nastąpi to jednak!

Poruszył głową kasyjer i odparł:

— Bardzo pięknie ze strony dobrodziejki, że tak zacnie na świat patrzysz. Ale ja z tem się nie zgadzam. Jeżeli mąż na fartuszku żony choć na kilka lat tylko osiędzie, to straci niezależność swego charakteru i zrobi się z niego papka! Najlepiej, jeżeli się sam łamie z trudnościami i ma poczucie samodzielności i niezawisłości. W małżeństwie trzeba tego koniecznie dla męża!

— Jeżeli inaczej być nie może....

— Chciał sobie poradzić biedny Karol... ale obawiałem się, że pierwej umrze, niżeli tego dopnie. Chwalebnie z jego strony, że chciał strzedz swojej niezawisłości, ale droga, jaką zmierzał do niej, była okropna. Wyobraź sobie pani — szesnaście godzin dziennie pracował, aby sobie na początek coś grosza uzbierać!...

— Szesnaście godzin! O święty Medardzie!

— Szesnaście godzin! Byłby zabił siebie... Otóż uradziliśmy z żoną aby mu przyjść w pomoc pewnym datkiem — ale że człowiek nie powinien przyzwyczajać się do jałmużny, więc damy mu to tytułem pożyczki... To zaś jest dokument podpisany przez radcę i asesora, mocą którego dworek nasz wraz z ogrodem przechodzi po naszej śmierci tytułem spadkobierstwa na Karola.... Tymczasem zaraz po ślubie oddamy mu dworek i ogród do użytku bez czynszu. Będzie w nim mieszkał z żoną a pani dobrodziejka będziesz panią na swojem. Ja zaś wezmę emeryturę, a dwa pokoiki w mieście wystarczą dla nas obojga.

— Czyż to potrzebne takie ceregiele między nami?

— Potrzebne i bardzo potrzebne! Strony powinny stanąć przy sobie mniej więcej na równym gruncie. W każdej spółce jest taki równy grunt wielką doniosłością — a małżeństwo to najważniejsza, uszlachetniona spółka!.. Mówię jednak tylko o tem do pani — bo Karol o niczem nie wie, i tak zaraz nawet nie dowie się, jeżeli asesora spotykać będzie zawsze w trzeźwym stanie. Nie ma bowiem smutniejszej sytuacyi od tej, w jakiej znajdują się stryjaszkowie i wujaszkowie — po których niecierpliwi krewni spadkobierstwa wyglądają... Rozumiesz mnie pani?

— Masz pan słuszność... ale zapis dworka nie był konieczny!

— Jest dobrze tak, jak się stało!

— Dworek z ogrodem wart zawsze dziesięć tysięcy reńskich...

— Stary major dawał mi dwanaście tysięcy trzysta i siedmdziesiąt.

— Dwanaście tysięcy trzysta siedmdziesiąt... To ładny grosz!

— Niech pójdzie grosz do grosza!

— Widzę, że pan Karol nawet materyjalnie nie złą jest partyją.

— To wszystko nic — ale dusza zacna, serce poczciwe!

— Wielkiej zacności człowiek!

— Czy pozwolisz mi pani przyjść tu — i wraz z panną Salomeą wysłuchać prośbę jego serdeczną?

— I owszem — niech przyjdzie!

— Czy panna Salomea jest na to przygotowaną?

— Przygotuję ją tymczasem — z resztą chodzi tu tylko o to, aby młodzi ludzie wypowiedzieli sobie to, co oddawna w ich sercach już gości!

— Czyż sądzi pani, że nie będzie miał żadnych trudności?.... Ja tam zwykle plotkom żadnym nie wierzę!

— Ach! Plotki są zawsze, gdzie się młode stadło kojarzy!

— Moje słowa dobrodziejko!... Gdym się starał o moję żonę.... ale Karol tam się pali z niecierpliwości.... więc mogę tu zaraz go przysłać?...

— Oczekujemy z otwartem sercem!

Kasyjer pocałował w rękę babunię i wyprostowany jak świeca wypadł na ulicę. Miał dla Karola dobrą wiadomość.

XV.

Salomea skończyła właśnie rozdział książki i jakby dla wypoczynku wyjrzała oknem z po za liści figowych.

Wzrok jej mimowoli z jednego okna wpadł w drugie, które było naprzeciwko. W tem oknie siedział właśnie Floryjan. Był w czarnym aksamitnym surducie i miał głowę ręką podpartą. Patrzał zamyślonem okiem gdzieś przed siebie, a lekki ciepły wietrzyk kołysał swawolnie jasne sploty długich jego włosów.

Był to obrazek bardzo piękny. Z ciemnego tła okna wychylała się plastycznie, dorodna postać artysty.

Salomea patrzała w ten obraz z widoczną rozkoszą. Złożyła książkę na kolanach i drobną rączką odsunęła z czoła rozpuszczone włosy, aby jej nie przeszkadzały. I usłużne, połyskne włosy usłuchały tej rączki i zatrzymały się na pięknem uszku, odsłoniwszy powabne, rozmarzone czoło.

I wyglądała teraz uroczo, a niejeden fotograf mógłby jej pozazdrościć tej pozy kunsztownej.

Ona jednak nie wiedziała o tej pozie. Była zajętą obrazem w oknie naprzeciwko. Wychyliła się nawet z pomiędzy liści figowych, a nawet poruszyła białą rączką gałązkę oleandru. Floryjan nie patrzył na nią.

— Nie patrzy na mnie — pomyślała sobie. bo nie wie że jestem przy oknie... ale ręczę za to, że teraz o mnie myśli! Widzę to po jego oku... o czem z resztą mógłby z takiem zajęciem myśleć lub marzyć?...

W tej chwili po pod okna przybiegł stary kasyjer. Salomea ujrzała go i pomyślała:

— Czy był u babuni?... Prawdopodobnie... ale jak spieszy! Tak szybko idącego nie widziałam go jeszcze!.. A jakby odmłodniał! Poczciwy wesoły człowiek. Zapewne babunia zaprosiła ich znowu na kawę. Poczciwi ludzie! Przyjdzie z nimi zapewne pan Karol.... zacny chłopiec. Z jaką przyjaźnią jest zawsze dla mnie... lubi mnie bo ja także go lubię...

Będzie rozmawiał z babunią... a my tymczasem... będziemy grali oboje...

Tak do siebie w duchu mówiła Salomea, gdy babunia krokiem poważnym weszła do pokoju.

— Tak spokojną jesteś — rzekła stając na środku — i nic nie przeczuwasz?

— Wiem, wiem! odparła wesoło Salomea, przyjdą na kawę państwo kasyjerowie.

— A nikt więcej?

— Przyjdzie z nimi i pan Karol!

— Dla czego nie powiedziałaś że przyjdzie i — *on?*

— A dobrze — figlarnie odparła Salomea, niechże i *on* będzie!

Babunia zbliżyła się tutaj do okna, a przedarłszy się przez oleander i liście figowe, odgarnęła bujne włosy z czoła Salomei i pocałowała ją. Salomea figlarnie skryła twarz swoję w chustce, którą babunia miała na piersiach.

— Tak moje dziecko — rzekła po chwili babunia — to mi się podoba. Gdy ś. p. dziadunio o mnie się starał, to przez dwa lata niewymówiłam nigdy ani jego nazwiska ani imienia — i w całym domu był tylko znany pod zaimkiem: *On!*

— Bo też to cudowne słowo: *On!* Nieprawda babuniu?

Salomea przycisnęła do chustki twarz gorącą.

— Tak... to jest najważniejsze słowo, które panna wymawia! W tem słowie jest wszystko!

Salomea ucałowała rękę babuni.

— Babuniu złota — rzekła — pozwól mi to słowo jak najczęściej wymawiać!

— Zdaje mi się, że w głębi serca i skrytości duszy zbyt często to słowo wymawiasz... chodzi tylko o to, aby to słowo stało się słowem urzędowem dla całego domu!.. Tak, dziś dla domu... jutro dla miasta... a w parę miesięcy dla wszystkich, dla całego świata!... Rozumiesz mnie Salusiu?

Salomea poczuła łzy w oczach, łzy jak miód słodkie. Zakryła je chustką babuni i głęboko odetchnęła.

Babunia widziała z rozkoszą jak przy tym oddechu zaokrągliły się uroczo dwa białe jak alabaster ramiona — jak pierś dziewicza podniosła się lekko i opadła, a tymczasem różowy rumieniec wybiegł z po za białego rąbka, i w oka mgnieniu oblał szyję i twarz — swoją farbą przejrzystą....

— Nie potrzebujesz piec raków — rzekła z uśmiechem — jeszcze *go* nie ma! Dosyć będzie czasu, gdy stanie przed tobą!

Salomea rozpłakała się....

— Babuniu jesteś dla mnie tak dobra.... szlochała zakrywając twarz w chustkę — tak dobra, że na samą myśl....

— Że się wzdrygasz na samą myśl, iż dla *niego* trzeba będzie babunię porzucić! dokończyła babunia.

— Ja babuni nigdy nieporzucę!

— Kto wie, gdzie wam przyjdzie wyjechać! Ja już tutaj złożę kości moje!

— Niech babunia tak nie mówi!

— Przecież dla was jest inny horyzont życia!

— Gdybym nawet była w Paryżu lub w Londynie...

Z PIĘCIU CZĘŚCI ŚWIATA.

IX.

Prawidłowość, rządząca tym światem, rozdzieliła między śmiertelników różnorodne funkcyje w wielkiem ogniwie, które mędrcy nazywają wspaniałem mieniem ludzkości. Pokornemu słudze waszemu sądzono być felijetonistą „Opiekuna Domowego.“ Ulegając woli tej wszechwładnej pani, ku wielkiemu zmartwieniu ciotek, kuzynów i kuzynek, dzierży on dotąd silnie w dłoni niezbyt wykwintne pióro literackie. Czytelniku, jeżeli miałeś kiedy wiele życzliwych, a opiekujących się losem twym osób, jeżeli cierpliwość twoja znosiła Chrystusowe męki w obec szczerych rad i przestróg, jakiemi cię darzyć nie omieszkano, wyobrażasz sobie zapewne nastrój ducha mojego, skoro z opiekuńczych ust usłyszę te życzliwe słowa:

— Mój drogi dałbyś lepiej pokój temu bazgraniu. To ci chleba nie przyniesie. Zostań prawnikiem, doktorem, rzemieślnikiem nawet, byle nie literatem.

— *Fi, mon cher*, jak możesz tak pospolitować swoje nazwisko. Słyszałem że podobno tam gdzieś pod jakimś artykułem się podpisałeś!

— Ty tem swojem pisaniem robisz sobie tylko wielu nieprzyjaciół. Jak można tak krytykować! Nie lepiejby siedzieć spokojnie i nie narażać się!

— Ciotuniu droga, odrzekłem w pokorze, wprawdzie pod gorącem niebem włoskiej krainy odgrywają się niekiedy krwawe dramata na niwie piśmienniczej—lecz w naszem pocz ciwem zaścianku dzięki Bogu, ludzie ranią się tylko piórem i językiem. Mogę się tylko obawiać chłosty literackiej, a od tego nikt jeszcze nie umarł, a nawet i nie zachorował. O życie, jestem zupełnie spokojny, o majątek.....

Darujcie łaskawi czytelnicy, że przemilczę o tej drażliwej dla mnie rzeczy, nie chcąc zakrwawić czułego serca swego. W każdym razie w tym względzie jestem również zupełnie spokojny. *Vanitas vanitatis et omnia vanitas!...*

Otóż pominąwszy to wszystko, mogę wam z głębi serca objawić, że jestem całkowicie zadowolony, z losu swojego i nie zazdroszczę szczęścia żadnemu ze śmiertelników, z wyjątkiem.... *reporterów pism codziennych.* Bo powiedzcie drodzy moi, co to za piękna rzecz wywierać bezpośredni wpływ na losy ludzkości. Weźmiecie to może za paradoks. Broń Boże! Z jakąż dumą i rozkoszą pisze np. jeden z reporterów Kuryjera: Zaledwie raczyłem poruszyć wszechwładnem pióremi upomnieć się o naprawę bruku na jednej z odległych ulic Warszawy, wnet w tymże dniu rozpoczęto około niego robotę.“ Cóż może więcej brakować do szczęścia i chwały. Niech się stanie!—i wnet stał się.... bruk na ulicy wielkiego grodu. Cześć wam, dobroczyńcy ludzkości!...

Jednakże, wielcy mężowie, ja skromne człeczyna srodze was dziś zawstydzę. Uczone głowy wasze myślały długo nad zaradczemi środkami przeciwko zwolennikom zasad ko-

— Tak daleko nie sięgaj. Zostawmy Paryż i Londyn tym, którzy bliższych obowiązków swoich nie widzą, lub z nich się wyłamują... Uczciwą pracę można znaleść blisko siebie.

Salomea spojrzała z uwagą na babunię.

— Któż wie — rzekła — gdzie los człowieka rzucić może!

— To prawda — ale nie będzie to zawsze tak daleko!

— Mimo to... obawiam się tej chwili!

— Bywa to tak zawsze u panien. Kochać się, rzucać spojrzenia, bawić się słówkami, a nawet od czasu do czasu z po za figowych liści patrzeć... to jeszcze jako tako! Przyjemne to i rozkoszne... ale gdy konkurent przed oczami stanie w świeżym kołnierzyku i nowych rękawiczkach i powie: Mościapanno — czy chcesz być moją?... O to wtedy serduszko przestrasza się jak rekrut na wojnie.... któremu na cichej mustrze zdawało się że jest już ostrzelany jak weteran!... Nic to moje dziecię — i strach przeminie i te dzisiejsze twoje bańki mydlane przeminą — a zostaną tylko twarde obowiązki życia i od czasu do czasu jaśniejszy promień słońca!...

Dziwne rozrzewnienie owładnęło sercem Salomei.

— A czy wiesz ty — prawiła dalej babunia, dla czego każda panna przy ślubie płacze?... Oto widzi jasno, że wszystkie te bańki mydlane trzeba za sobą zostawić — że po za nowy próg życia wziąć ich nie można, bo tam na nic się nie przydadzą!... Ona widzi to lub przeczuwa i dla tego płacze, bo to były cacka ładne i ponętne, chociaż odtąd pozostaną bez żadnej wartości!...

— Niech babunia nie odbiera mi wszystkiego tak okrutnie!—błagała Salomea — przecież choć coś, choć trochę pozostanie z tego, com sobie wymarzyła!

Cierpko rozśmiała się babunia i odparła:

— Tak... coś może pozostać, jeśli to coś było poczciwe i szlachetne. Jeśli naprzykład wymarzyłaś sobie jakieś przyszłe, piękne i zaszczytne obowiązki, spełnienie których sprawia ci już dzisiaj rozkosz nieopisaną — to te marzenia zostaną przy tobie i będziesz mogła urzeczywistnić je kiedy zechcesz! Ale jeżeli wymarzyłaś sobie przyszłe rozkosze, jakich używać będziesz bez żadnych zawodów — to takie marzenia zostaw lepiej przed ślubnym ołtarzem, aby cię po ślubie daremnie jak bezduszne mary nie trapiły!... Żal ci ich — to zapłacz nad niemi, tak jak płacze każda oblubienica — ale nie bierz ich z sobą, bo w takim przemycanym towarze mieszka zły duch, który ci szczęście możliwe zabierze, i ciebie jeszcze na bezdroża zaprowadzi!

Głośnym płaczem załkała Salomea. Babunia podgarnęła jej włosy i pogłaskała po twarzy.

— Teraz jeszcze nie masz czego płakać, mówiła dalej — tylko trzeba się strzedz, aby potem nie było za wiele tego płaczu. Nie trzeba za wiele pragnąć i wiele sobie obiecywać, to potem łatwiejszy będzie rozbrat z marzeniami, a rzeczywistość nie będzie znowu taka błotnista, jak ją poeci widzą! Będzie i tam kwiatek jeden i drugi... będzie sposobność do dobrego uczynku — a kto za młodu zaprawiał się na dobrych i szlachetnych uczuciach, to dla tego taki uczynek będzie niewyczerpaną rozkoszą — daleko większą od wszystkich tych złudnych marzeń, jakiemi dzisiaj życie swoje napełniasz... Chodzi tylko o to, aby dzisiaj jasno widzieć przyszłość swoję i z niej potem żadnych złudzeń nie odtrącać!

— Któż wie, co jest prawdą a co złudzeniem?

— To prawda — wszystkiego do gruntu przejrzeć nie można, ale trzeba tak robić, aby tych złudzeń jak najmniej było.

Salomea spojrzała na domek ślusarski. W oknie siedział Floryjan. Był smutny i zamyślony. Ale w brunatnych oczach jego widziała Salomea jasny promień, który jej mówił, że wymarzone jej szczęście nie pozostanie czczem marzeniem, które trzeba będzie przed ślubnym ołtarzem za sobą zostawić.

— Więc zbierz całą swoję odwagę dzisiaj, mówiła po chwili babunia — bo wkrótce trzeba będzie ostateczne słowo usłyszeć i na nie odpowiedzieć.

— Tak prędko? westchnęła Salomea.

— Im prędzej, tym lepiej. I tak ciągnie się to już trzeci miesiąc.

— Tak prędko! szepnęła Salomea do siebie i rozpłomienionem okiem wyjrzała znowu przez okno.

— Wkrótce stanie przed tobą!

— Jakto... dzisiaj przyjdzie... i —

— I oświadczy się tobie!

— Skądże to wiesz babuniu?

— Nie pytaj o to! Wiem ja dobrze o wszystkiem!

Twarz Salomei oblał rumieniec purpurowy.

— Nie taiłam się z tem! szepnęła.

— Gdybyś tyle wiedziała co ja wiem, to serce twoje uderzyłoby jeszcze żywiej!... Ale zawsze szlachetnie z twojej strony, żeś pokochała go bez żadnego interesu... Poczciwy chłopiec! prócz swojej przyszłości, na którą dopiero będzie musiał zarobić, prawie nic nie ma!

Salomea rzuciła się babuni na szyję.

— Ach złota babuniu! zawołała śród płaczu — wszak to jest zwykły los podobnych ludzi!

— Ale z takich ludzi bywają radcy, a nawet na krześle prezesa może kiedyś zasiąść!

Salomea odstąpiła od babuni i spojrzała na nią z pewnem zadziwieniem. Po jej twarzy przemknął dziwny wyraz.

— Radcy.... na krześle Prezesa — powtórzyła prawie bezmyślnie.

— Tak jest — spokojnie mówiła dalej babunia — przecież aplikantem nie będzie do śmierci!

— Babuniu — coś wyrzekła! zawołała bezdźwięcznym głosem.

— Przecież nie mówię po chińsku!... Ma tu przyjść pan Karol i tobie się oświadczyć!

— Pan Karol!

— Cóż cię to tak zadziwia? Przecież —

— Pan Karol ma się o mnie oświadczyć?...

— Przecież trzeci miesiąc do tego celu idziemy!

---

munistycznych, w praktycznem zastosowaniu do ruchomości nieoględnych i łatwowiernych obywateli, i dotąd... o hańbo!... nic radykalnego wymyśleć nie zdołały. Z prawdziwą dumą podnoszę czoło i wołam głosem wielkim: Słuchajcie, bo ota ja... ja pierwszy odkryję wam znakomite *remedium*, które zabezpieczy waszę chudobę od serdecznych dłoni nieproszonych gości. Wprawdzie nie ja jestem twórcą tego nieśmiertelnego wynalazku, ale jeden z dobrych przyjaciół moich, lecz nie ujmuje mi to bynajmniej honoru, bo zaiste z dumą powiedzieć mogę: „kto ma takich przyjaciół, ten godzien chwały i nieśmiertelności.“

Ale przystąpmy do rzeczy. Oto zacny jeden młodzian, opuszczając na chwilę mieszkanie parterowe i ufając szlachetności świata tego, zostawił otwarte okna, a na oknie zwierzchnią garderobę. Nie przypuszczał w prostocie ducha, aby miała ona posłużyć jakiemu Adamowi za rajskie jabłko pokusy. Wielkie też było zadziwienie jego, skoro powróciwszy do domu nie zastał już manatków. Wiara w poczciwość ludzką została srodze zachwianą; postanowił w jakikolwiek sposób schwytać złoczyńcę, który zdjął mu z oczu niebieskie okulary ułudy. Bo trzeba wam wiedzieć że przyjaciel mój należy do tych ludzi, co to nie dbają o marności świata tego, a idzie im przedewszystkiem o zasadę. Otóż co robi nasz poczciwiec. Na drugi dzień, wstawszy rano, kładzie na okno najpiękniejszą część garderoby, i za pomocą sznurka przywiązuje sobie takową do ręki. Następnie kładzie na ziemi materace i rozkłada na nich swe szlachetne członki. W tak miłem *farniente* pozostaje dzień cały.

— A to co za pokuta doczesna!—zawołałem, widząc go w tak rozkosznej pozycyi.

— Łapię złodzieja!

W tej chwili spojrzałem bystro w twarz czcigodnego młodziana, w obawie ażali nie przyśniło mu się w nocy ciche schronienie na Bonifraterskiej ulicy. Ubogi duchem, nie pojąłem jeszcze głębokiej myśli przyjaciela. Każda wielkość jest niezrozumiałą dla prostych śmiertelników!

— Powiedz mi mój drogi, czyś nie pokrzepiał się dziś przypadkiem jakim szlachetnym trunkiem?

Przyjaciel popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

— Jakto, nie rozumiesz jeszcze mego zamiaru. Wyobraź sobie, jakiś niegodziwiec skradł mi wczoraj przez otwarte okno ubranie. Ale zje dyjabła jeżeli go nie złapię! Pokusi się dziś niezawodnie, a wtedy stój bratku!...

Teraz dopiero pojąłem potęgę myśli nowego wynalazku, i w pokorze ducha schyliłem czoło, wołając: Bracie, tyś wielki!...

I cóż myślicie czytelnicy, czy złapał się złodziej?... Niestety, nie! Ale to bynajmniej nie zmniejsza wartości nieśmiertnego tworu genijalnej myśli. Mogły być różne przeszkody. Szanowny komunista, spieniężywszy zdobyte runo, zachulał się pewno w jakim rozkosznym zakątku, lub poszedł na majówkę, zapomniawszy wstąpić po resztę garderoby zacnego obywatela. Wszakże i największe wynalazki zostają niekiedy na chwilę bez skutku. Ale niebawem, ludzkość i potomność cała nie omieszka uczcić dobroczyńcę swego. Tymczasem, o drogi mój bracie pozwól, że drżącą

Salomea załamała ręce.

— O mój Boże! krzyknęła i zakryła oczy, bo łzy gorące polały się teraz po jej twarzy.

W tej chwili wiele rzeczy rozjaśniło się przed nią. A co było w tem najboleśniejszego dla niej, to przekonanie, w którem się utwierdziła, że po części stała się winną takiego nieporozumienia. Czy to była rzetelna przyjaźń, czy drobna kobieca próżność podobania się, zbliżała się przez ten czas do Karola więcej, niżeli była powinna. A on mógł to wziąść za dowód wzajemnego uczucia!...

— Ach mój Boże! wołała w rozpaczy — tu zaszło straszne nieporozumienie.... ja myślałam....

— Coś myślała? spokojnie zapytała babunia.

— Ja sądziłam, że... babunia o kim innym...

— O kim innym?...

— Że babunia... o panu... Floryjanie myśli!

Babunia bynajmniej się tem wyznaniem Salomei nie zdziwiła. Spokojnie, ale stanowczo odpowiedziała:

— Coś wiedziałam a resztę dopowiedziały mi plotki. Nie brałam jednak tego na seryjo. Jestem przekonaną, że masz rozsądek i poczciwe, zacne serce, i że w ostatniej chwili wybierzesz złoto a nie szych!

Salomea rzuciła się na kolana.

— Babuniu, zawołała ze łzami — już za późno... ja kocham go!

Babunia podniosła płaczącą wnuczkę i spokojnie patrzała na nią czas niejaki.

— Powiadasz, że go kochasz! mówiła z powagą — powiedz mi, co w nim kochasz?

— Nie wiem co w nim kocham, ale wiem że kocham go całą duszą!...

d. c. n.

ZIMĄ.

(z Rosyjskiego)

Witajcie dziecięce lata i marzenia!
Ledwo was przypomnieć, w uśmiech łza się zmienia,
Babcia siedzi w krześle, pochyla się, drzemie,
Z rąk bezwładnych kłębek upuszcza na ziemię,
Skacze burek z kąta, porusza go łapką,
Ciemnieje już świeca pod ognistą czapką,
Noc z za okna patrzy, niby oko czyje:
Zimowa zawieja szaleje i wyje...

Babci cudne bajki ze snu mnie wybiły:
Waligórę widzę, człeka dziwnej siły,
Jędza czarownica żywej duszy słucha,
Smok wzlatuje w górę i iskrami bucha,
Las zagłuchł, oniemiał, skryty czarną chmurą,
Spoglądają drzewa ponuro, ponuro!...
Mrok z za okna patrzy, słania się i chwieje:
Zimowa zawieja wyje i szaleje...

Babcine futerko nogi mi ogrzało;
Ot i w oczach moich wszystko się zmieszało,
Lampka to raz błyśnie, to znowu przygaśnie,
Coś na izbie stuknie, coś w kominie trzaśnie,
Mrok mi w oczy patrzy, słania się i chwieje...
Zimowa zawieja wyje i szaleje...

Wieczny odpoczynek wam, radosne chwile!
Gdzieżeś niewinności, cichy śnie i zdrowie?
Od łez mych przemokło pomięte wezgłowie,
Na piersiach głaz leży jakby na mogile,
Dusza więdnie, myśląc o jutrze, o chlebie,
Dni dziecięce świecą, jak gwiazdy na niebie
Tajemniczą przyszłość groźbami ciemnieje.
....
Zimowa zawieja wyje i szaleje!...

Wł. Ordon.

ZARYSY

Gubernij północno- i południowo zachodnich.

Skreślił
Jan ze Śliwina.

(ciąg dalszy)

Z innych miejscowości w tym powiecie zasługują na uwagę: *Szaty*, dawniej dziedzictwo Pietkiewiczów, słynne z kilku jarmarków; *Kowarsk* i *Owanta* nad Wiryntą i Owantką, dawne dziedzictwo Hrehorego Ościka ściętego za Batorego, za tajemne związki z Iwanem Groźnym; *Onikszty* o 4 mile od Wiłkomierza nad Świętą, miasto dawniej rozległe i ludne; *Uszpole* nad Świętą, duże i dochodne starostwo; *Wiżuny* niedaleko Uszpola, nad jeziorem, dawne dziedzictwo Radziwiłłów Birżańskich. Tu pochowany w r. 1603 Krzysztof Mikołaj Radziwiłł hetman w. lit. w kościele protestanckim, dziś przerobionym na katolicki.

Na samem pograniczu niższej Litwy od wyższej, na prawym brzegu Niewiaży, leżą *Kiejdany*, słynne handlem i przemysłem, a także ogrodnictwem. Starodawna to osada i świadek niejednokrotnych utarczek z Rycerzami. Kiejdany należały do Radziwiłłów linii Birżańskiej, a jeszcze przedtem do sławnego rodu Kiszków, z tych ostatnia, Anna Kiszczanka, wyszła na początku XVII wieku za Krzysztofa Radziwiłła i Kiejdańszczyznę do ich domu wniosła.

Rycerze teutońscy wymurowali tu kościół, ale Żmudzini, wypędziwszy ich z kraju, w tym samym kościele posąg Perkuna postawili. Kościół ten w pięknym gotyckim stylu i dziś jest farnym.

Do wzrostu i upiększenia Kiejdan najwięcej przyczynił się głośny w dziejach Janusz ks. Radziwiłł; on to zbudował wspaniały zamek rezydencyjonalny, zachęcał i protegował rzemieślników i fabrykantów tu przesiedlających się. Pod tym względem Kiejdany słynęły aż do ostatnich czasów. Smutne tu działy się rozterki między kalwinami, których protegowali Radziwiłłowie i katolikami. Tu była sławna szkoła wyższa kalwińska w roku 1625 przez Krzysztofa ks. Radziwiłła wojewodę wil. założona. Tu w końcu były grobowce familijne Radziwiłłów wyznawców nauki Kalwina. Jeden kościół ewangielicki ocalał i do tego czasu.

W ostatnich latach Kiejdany należały do Maryjana hr. Czapskiego, znanego autora „Konia,“ a dziś są własnością jenerała adjutanta Edwarda Totlebena, głośnego dowódzcy z czasów wojny sebastopolskiej, który z wielkim nakładem rozpoczął tu gospodarkę i urządzenie miasta, pałacu, ogrodów i t. d.

Piękne jest położenie Kiejdan, w dolinie okolonej wzgórzami; miasto porządnie zbudo-

---

dłonią złożę na twej skroni uroczy wieniec chwały.. z liści bobkowych, u stóp twych hołd serdecznej podzięki, bo oto i ja wielkim wraz z tobą zostanę!

Miło jest usłyszeć imię swoje, wygłoszone huczną trąbą sławy wiekuistej. Skromna praca w zakątku nie zawsze bywa należycie wynagradzaną. Jako wybitny dowód tego posłużyć może los jednego ze zgasłych niedawno pracowników. Zajmował się on badaniem natury i zebrał przez całe życie olbrzymi zielnik. A wiecie jaki los spotkał ten cenny skarb po śmierci właściciela?... Oto szanowny spadkobierca wyrzuciwszy zioła, które wydawały mu się niepotrzebnem śmieciem, samą bibułę, w której były schronione, sprzedał za kilkanaście rubli! Tym, którzy wątpią w prawdziwość słów moich, mogę zaręczyć, że słyszałem ten fakt z kilku ust wiarogodnych. Światły spadkobierca utrzymuje, że gdyby zioła te były świeższe nieco, posłużyćby mogły za pokarm dla blisko spokrewnionych z nim umysłowo jestestw organicznych, sam zaś nie potrzebuje siana, gdyż ma go dosyć w stodole i... w głowie! To ostatnie ma być również należycie przysuszone. O czcigodny pracowniku zazdrość ci zaiste można tak wielkiego spadkobiercy! Zdarzają się więc u nas dzieje, przypominające losy biblijoteki Aleksandryjskiej.

Zwróćmy rózeczkę satyrycznej chłosty w inną stronę. Kilkakrotne odezwy prasy i ogółu w kwestyi zbytniej kastowości młodzieży handlowej, która uzewnętrzniała się przedewszystkiem w statucie ich stowarzyszenia, zwróciły uwagę lepiej myślących jednostek na konieczność zmiany takowego, co też na ostatniem zebraniu nastąpiło. I cóż myślicie, czy i chrześcijańska młodzież przyjęła chętnie podaną sobie dłoń bratnią? Broń Boże!.. Szlachetne grono adeptów Merkurego uważa się za powołane do wznioślejszych czynów i nie myśli bynajmniej bratać się z izraelskim pospólstwem. Urządza więc sobie, jak chodzi pogłoska, odrębne Stowarzyszenie. Dla czego pierwej tego nie uczyniło; dla czego teraz dopiero, kiedy ci którzy ich wyprzedzili w tym względzie, dają im chętnie do spożycia przygotowane długą pracą owoce, odpycha je z pogardą?... Pozostanie to na zawsze tajemnicą ograniczonych umysłów i dusz prostaczych! Ale otóż i rozwiązanie zagadki.

— Mój drogi, nie dość, że pozwoliłam na to, żeś ty, zrodzony z *takiego* domu, syn *takich* rodziców, został prostym kantorowiczem?.. Nie dość jeszcze tej hańby na moje stare lata!... Chcesz jeszcze łączyć się z żydami, żeby przesiąknąć ich szachrajstwem i nikczemnością!... A gdzie owe zasady religii i dobrego wychowania, jakie od dzieciństwa wpajałam w ciebie?!

Tak wzniosłym głosem protestu odezwało się czułe serce macierzyńskie...

Pan Bóg stworzywszy ludzi, podzielił ich na rozmaite klasy. Prawych potomków Mojżeza przeznaczył do podejrzanych spekulacyj, a szlachetnych obywateli do wzniosłych czynów cnoty i poświęcenia. Prawidło to stałe, bez wyjątków. Są indywidua, którym wydaje się rzeczą niemożebną, aby potępiony syn semickiej rasy mógł stanąć w szeregu zacnych ludzi. Zstąp o duchu naszego wieku, i napełnij umysł niegodnych dzieci twoich, choć odrobiną zdrowego rozsądku!...

wane, ma nie mało domów murowanych. Ludność dość znaczna.

Ostatni z powiatów gubernii Kowieńskiej o którym nam mówić wypada, Nowo-Aleksandrowski, różni się trochę od innych powiatów, już to pod względem natury gruntu, już klimatu szczególnie w północnej stronie. W tym to powiecie samych jezior liczą przeszło 400, a nadto niemało błot. Grunt najwięcej piaszczysty, a czarnoziem tylko miejscami. Obfitość wielka ryb wszelkiego rodzaju, a len w niektórych miejscach uważany za wyborny; len zaś z *Rakiszek* hr. Rajnolda Tyzenhauza, o czem już wspomnieliśmy, uważany jest w handlu jako *korona* lnów.

Naczelnem miastem powiatu jest dziś *Nowo-Aleksandrowsk*, a przed rokiem 1836 były *Widze*, przed rokiem zaś 1794 *Bratysław* albo *Bracław* było naczelnem miastem tego powiatu, który też nazywał się wtedy *Bracławskim*.

Nowo-Aleksandrowsk, utworzony w r. 1836 z miasteczka *Jeziorosy*, niegdyś starostwa, na granicy Kurlandzkiej, nad jeziorem tegoż nazwiska. Jeziorosy istniały już w wieku XVI, gdyż tu Jan z książąt litewskich biskup wileński odnowił i uposażył kościół parafijalny. We władaniu miasta samej rolnej ziemi znajduje się 2409 dziesięcin i pastwiska 708 dziesięcin, a jezioro zajmuje 304. Samo zaś miasto zabudowane na 40 dziesięcinach. Ludność w r. 1870 wynosiła 6,115. Na Trzy Króle i na Wniebowzięcie bywają tu dość znaczne jarmarki.

Widze, dawniej powiatowe od r. 1794, a dziś tak zwane w języku prawnym *nad-etatowe* miasto, w XVI wieku były własnością Gasztoldów. W ostatnich czasach Widze słynęły wodami siarczanemi, krótko to jednak trwało. Ludność wynosi około 2500 głów. Ma trzy jarmarki.

Bratysław, albo *Brasław*, nad jeziorem bardzo wielkiem (okrągłej formy) *Drywiata*. Jest to starożytny gród słowiański, należał bowiem do księstwa połockiego, na pograniczu Litwy, zdobyty w r. 1063 przez Kernusa księcia litewskiego i Gimbuta księcia żmudzkiego i przyłączony do Litwy. Oprócz kościoła, jest tu cerkiew prawosławna zbudowana przez Moniwida wojewodę wil. w XV wieku.

Dryświaty, o 6 mil od Brasławia, nad rozległem bardzo jeziorem. Był tu warowny zamek, a później *Dwór królewski*, o którym Gilberd de Lannoy w swojej podróży z 1413 roku wspomina.

VIII.

Gubernija Mińska.

Gubernija Mińska utworzoną została z kilku najstarożytniejszych udzielnych księstw ruskich. Granice jej stanowią: na północ gubernije Wileńska i Witebska; na wschód Mohylewska i Czernihowska; na południe Kijowska i Wołyńska, a na zachód Grodzieńska. Niemen oddziela ją od gub. Wileńskiej, Dniepr zaś od Mohylewskiej i Czernihowskiej. Okrąg granicy dokoła wynosi 289 mil czyli 2,023 wiorst.

Do składu tej gubernii weszły księstwa Turowskie, Zasławskie, Słuckie i Kopylskie, Mińskie, Nowogrodzkie, Dawidgródzkie, Mozyrskie, Pińskie. Były to dziedzictwa znakomitych w dziejach domów: *Izasława*, syna Włodzimierza Wielkiego i tylekroć wspominanej w poezyjach Kohniedy, córki Rohwołoda połockiego; Izasław był założycielem *Izasława*, albo *Zasławia* z księstwem tegoż imienia; książąt *Olelkowiczów-Słuckich* potomków Włodzimierza Olgierdowicza księcia Kijowskiego, którego syn Olelko, mianował swego syna Michała księciem kopylskim, wnuka zaś Bazylego Siemionowicza księciem słuckim; *Świętopełka* syna Włodzimierza W., który dzierżył księstwo Turowskie, jak chce legendarna historyja założona przez bajecznego Tura; *Hleba*, ks. Mińskiego; *Jaropełka* syna Włodzimierza W. księcia Nowogródzkiego; *Grzegorza* i *Jana* książąt Nieświeżskich, wreszcie potomków *Włodzimierza Monomacha*, książąt Pińskich, władców owego *morza Herodotowego* i kilku innych. Stąd pochodziły znakomite domy ruskie książąt Sołomereckich, ks. Boromelskich, ks. Żyzemskich, Tyszków, późniejszych Tyszkiewiczów, Haraburdów, Kiszków, Hlebowiczów, Korsaków i w. i. — W tej to gubernii przyszli na świat Adam Mickiewicz, Syrokomla, Jan Chodźko, J. Korsak i kilku innych znakomitych, chlubę piśmiennictwa naszego stanowiących mężów. Sławny piewca *O pułku Igora* znał dobrze ten kraj, a może i mieszkał w Mińsku, skoro tak dokładnie opowiada boje i cnoty księcia mińskiego Wszesława, lub bitwę nad Niemihą, która tak długo w błąd wprowadzała historyków *).

Jeszcze w XVI stuleciu były już tu drukarnie słowiańskie w Nieświeżu, Lubczu, Słucku, Zasławiu i innych miastach.

Już w X wieku istniały tu miasta: Turów, Zasław, Mińsk, Lehożsk, Pińsk, Słuck (Słuczesk), Nowogródek, Kleck, Borysów, Brahin, Mozyrz.

Plemiona słowiańskie które głównie zaludniały dzisiejszą gubernija mińską, to Krywiczanie i Drehowiczanie, później już idą Drewlanie, a w mniejszej ilości i litewska Jaćwież (Jadźwingi).

Udzielni książęta wspomnieni przez nas hołdowali raz kijowskim, drugi raz połockim kniaziom. Już od początku XII wieku Litwa przywłaszczać zaczyna ziemie mińskie; ks. Żywibund w r. 1114 najeżdżał mińską krainę; w r. 1235 Ryszgold po walnem zwycięztwie pod Mohilną, objął lenne zwierzchnictwo nad księstwem mińskiem, a dopiero od r. 1300, za Witenesa stało się ono własnością wielkich książąt litewskich. O losach innych księstw powiemy we właściwem miejscu.

*) *Niemiha* niegdyś rzeka, dziś maluczki strumień płynie w samym Mińsku i wpada do Swisłoczy. Nad Niemihą miała miejsce bitwa Wszesława r. 1067, o której pisze *Pieśń o pułku Igora*. Karamzin nie rozumiał znaczenia wyrazu *Niemiha* i sądził że to się stało nad *Niemnem*, który o 10 mil stąd płynie. Tatiszczew w swojej niewiadomości prześciga Karamzina, dowodząc, że Niemen płynie pomiędzy Mińskiem a Połockiem. Wszesław z *Dudutek* natarł na wroga nad Niemihą; a więc Karamzinowi zdało się, że Dudutki muszą leżeć pod Nowogródkiem; Arcybyszew wszakże słusznie wypowiedział, że Dudutki — to *Dudicze* w powiecie Ihumeńskim.

Odwróćmy oczy od tych smutnych kwestyj naszego żywota i przejdźmy w potężną sferę, gdzie losy ludów się ważą.

Fiat pax! oto wielki głos prasy zagranicznej. Pokój zakwitnie na bujnej niwie wielkiego świata. Na gazetę *Times*, która pierwsza uderzyła w alarm bojowy, spadają zewsząd gromy oburzenia. Pisma niemieckie i francuzkie przemawiają zgodnym zupełnie głosem. Berlińska gazeta „*National Zeitung*“ nie znajduje słów do wylania goryczy z powodu tych pogłosek prasy angielskiej i nie wątpi że celem ich jest jedynie anty-bismarkowska propaganda. Dalej organ ten głosi „że rząd niemiecki gorąco pragnie pokoju, lecz chętnie odpowie na zawezwanie do walki, jeżeli to będzie walka obronna, a nie zaborcza.“

Inne znów pismo powiada: „Zjazd berliński ma jeden tylko cel do spełnienia: — utrwalenie stałego pokoju w Europie.“

Hrabia *Andrassy* silniej jeszcze wyraża oburzenie swoje, nazywając rozsiewanie pogłosek nikczemną spekulacyją giełdową.“

Paryzkie gazety doniosły niedawno o krótkiej wizycie jaką złożył *Thiers*, posłowi niemieckiemu księciu *Hohenlohe*. W sprawie tej w piśmie *Univers* pomieszczony został artykuł, autor którego pilnie zastanawia się nad przyczyną tej wizyty. Skoro jeden z przyjaciół pokazał ten artykuł byłemu prezydentowi, ten wyraził zadziwienie, że tak prosta rzecz mogła wzbudzić uwagę prasy: „Mam zwyczaj, rzekł z dumą — oddawać nawzajem wizyty nie tylko księciu Hohenlohe, ale i przedstawicielom wszystkich mocarstw. Nie mam potrzeby skrywać stosunków moich z posłem niemieckim, lecz mogę zapewnić, że dysputy z nim miały z mojej strony zawsze na celu interes Francyi. Starałem się tylko przekonać księcia, że Francyja pragnie pokoju i nie myśli bynajmniej o wojnie. Szczęśliwy będę, jeżeli uwierzy słowom moim i doniesie o tem do Berlina.“

National Zeitung, pomieszczając te słowa nadaje im wielkie bardzo dyplomatyczne znaczenie.

Z błogiej krainy pokoju przejdźmy na arenę krwawych zapasów. Donosiliśmy już wam kilkakrotnie o losach wojny domowej w *Hiszpanii*. Sytuacyja dotychczas nie zmienia się zupełnie. Karliści otrzymują klęskę po klęsce. Rząd postanowił działać jak można najenergiczniej. Armija centralna otrzymała rozkaz dotąd nie dawać pokoju nieprzyjaciołom, póki ostatecznie nie będą wypchnięci ze stanowiska swego.

Z przyczyny klęsk, jakie zrządza w kraju ta wojna domowa, emigracyja dochodzi do ogromnych rozmiarów. W skutek przerwania robót w kopalniach około Bilbao, masa pracowników przesiedla się do południowej Ameryki. Z innych też prowincyj całe tłumy emigrują w obce strony. Z Aragonii znaczna ilość rolników udała się do południowych departamentów Francyi.

W dalszych zakątkach ziemi odzywa się też gdzieniegdzie trąba bojowa. *Port-o-Prence* było świadkiem powstania, w celu zwalenia dotychczasowego rządu. Wkrótce jednakże walka uśmierzoną została, i rzeczy przyszły do dawnego stanu.

Tymczasem *Anglija* dumnym okiem spogląda na sprawy świata tego i na sławną ziemię Albijonu, przenosi obeliski starego świata. Transport tej wspaniałej kolumny wymagał

Województwo Mińskie zaledwo w r. 1500 utworzonem zostało. Dzieliło się na 3 powiaty: Miński, Mozyrski i Rzeczycki. W obrębie tej gubernii było inne jeszcze województwo: Nowogródzkie, ostatecznie utworzone także w r. 1500 i składające się z trzech powiatów: Nowogródzkiego, Słonimskiego i Wołkowyskiego (ostatnie dwa powiaty w znacznej części odeszły do gubernii Grodzieńskiej).

Mińska gubernija utworzoną została po drugim podziale Polski ukazem cesarzowej Katarzyny z d. 3 maja 1795 roku.

Pod względem administracyjnym gubernija dzieli się na dziewięć powiatów, a mianowicie: *Miński, Borysowski, Ihumeński, Słucki, Nowogródzki, Bobrujski, Piński, Mozyrski* i *Rzeczycki*.

Miński, Mozyrski i Rzeczycki należały do województwa Mińskiego; Bobrujski stanowił część ówczesnego powiatu Rzeczyckiego; Ihumeński zaś część Mińskiego powiatu; Nowogródzki z księstwami Słuckiem i Kopylskiem stanowiły województwo Nowogródzkie; Piński powiat należał do województwa Brzeskiego.

Powiaty Piński, Mozyrski, Rzeczycki oraz wznacznej części Słucki, powszechnie nazywane są *Polesiem litewskiem* rozciągającem się po lewym brzegu *Prypeci*, gdy prawy jej brzeg stanowi *Polesie wołyńskie*. Gdy w Mińskim, Borysowskim, Bobrujskim, Ihumeńskim, oraz w części w Rzeczyckim mieszkają *Biało-Rusini;* w Nowogródzkim, a w części i w innych powiatach mieszkają *Czarno-Rusini* (Dregowiczanie, Bużanie, Duleby). W innych powiatach *Mało-Rusini*.

Wspomniane powiaty dzielą się na 34 cyrkuły policyjne, 81 cyrkułów żandarmskich, 35 zarządów gminnych włościańskich. Miast i miasteczek jest 116, gmin 214, majątków 2496 właścicieli 1889. Dobra rządowe mają 45 zarządów gminnych.

Pod względem zarządu duchownego wschodniego obrządku, w dzisiejszej gubernii Mińskiej było kilka katedr biskupich. Najstarsza z nich w *Turowie* (w pow. Mozyrskim) podług latopisów istniała już od r. 1072. Od roku 1145 znane są nawet imiona biskupów czyli władyków Turowskich. Za Witolda katedra do Pińska przeniesioną została, ale władyki zawsze mianowali się Turowskimi i Pińskimi. Jedenasty z kolei biskup Turowski i Piński Leoncyjusz Jastrzębiec Pełczycki w r. 1596 przyjął uniję w Brześciu. Od tego czasu następcy jego byli już biskupami unickimi aż do r. 1795. Ostatnim był Józefat Bułhak, późniejszy metropolita unicki. Tak więc biskupstwo Turowsko-Pińskie istniało 723 lata.

Inne katedry biskupie wschodniego obrządku istniały: w Mińsku od XIII wieku, czas jakiś w Słucku i w Nowogródku, który przez Witolda obrany był na zjazd synodu duchownego w r. 1415, na którym utworzoną została metropolija *kijowsko-wileńsko-nowogródzka*, niezależna od głównego zarządu jak było do tego czasu w Moskwie. Nowogródek więc posiadał w liczbie innych miast, katedrę *metropolitalną*.

Pod koniec przeszłego stulecia utworzonem zostało arcybiskupstwo Mińskie, do zarządu którego należała nie tylko cała gubernija Mińska; ale zarazem Wileńska, Grodzieńska, Kowieńska; tak było do roku 1839, kiedy utworzoną została archidyecezyja *Litewsko-Wileńska* w Wilnie (30 marca i 23 lipca 1839), a wtedy przy arcybiskupstwie mińskiem, pozostała jedna tylko gubernija Mińska.

Pod względem zarządu Rzymsko-katolickiego kościoła w gubernii, przed ostatnim podziałem cała dzisiejsza gubernija Mińska należała do dyecezyi wileńskiej, oprócz ówczesnego powiatu Pińskiego, z częścią Polesia litewskiego, które należały do dyecezyi Brzesko-Łuckiej. Po ostatnim zaś podziale, Katarzyna W. utworzyła osobną dyecezyją Mińską, którą urządził kanonicznie z rozkazu Papieża Nuncyjusz apostolski arcybiskup Wawrzyniec Litta d. 28 kwietnia 1798 r. Pierwszym biskupem był Jakób Dederko († 1829); drugim Mateus Lipski († 1841); następnie rządził dyecezyją sufragan biskup Paweł Rawa aż do swojej śmierci, a w roku 1853 wyświęcony został trzeci i ostatni biskup miński Adam Wojtkiewicz. Istniała ta dyecezyja do 1869, t. j. 71 l. gdy znowu weszła do składu dyecezyi wileńskiej. Biskup Wojtkiewicz wkrótce potem umarł w Wilnie.

Przestrzeń gubernii podług wyliczeń Szwejcara wynosi 78,500 kw. wiorst. Zieleński liczy 79,103 kw. wiorsty, a podług rządowych statystycznych danych z r. 1870: 86,647 kw. wiorst (17,683 kw. mil, 98,605 kw. kilometrów). Z tej liczby $1/9$ część zajmują błota.

Ludność gubernii podług danych z r. 1870 wynosiła 587,641 mężczyzn i 594,589 kobiet, razem 1,182,230, a zatem wypada na jednę wiorstę kwadratową 13,6. Lecz jeśli odejmiemy nieprzystępne i niezaludnione błota, wypadnie na jednę wiorstę przeszło 15. Najwięcej zaludniony jest powiat Nowogródzki. Tu na jednę wiorstę wypada 30 mieszkańców; następnie Miński 28, Słucki 21. Najmniej zaludniony Mozyrski, gdzie na wiorstę zaledwo 5 mieszkańców przypada a to z powodu że tu dziewicze jeszcze miejscami lasy zajmują prawie 900,000 dziesięcin; w Pińskim zaś na wiorstę wypada 9 mieszkańców, gdyż tu błota i wody zajmują przestrzeń prawie 360,000 dziesięcin wynoszącą.

Ludność ta podług wyznań w r. 1870 wynosiła: prawosławnych 896,263; rzymsko-katolików 132,237; roskolników 4,993; protestantów 2,038 mahometanów 3,195 i żydów 143,504.

Podług plemiennego podziału najwięcej *Białorusów*. Tych w r. 1864 liczono 654,416 prawosławnych i 7,354 katolików. *Małorusów* 19,546 prawos. i 1469 katolików; *Wielkorosyjan* 53,390 prawosławnych i staroobradców. Polaków 116,789 — katolików.

Podług stanów w r. 1870: szlachty dziedzicznej było 39,462; szlachty osobistej 7,299; duchowieństwa 6,942; mieszczan 212,554; włościan 849,407; wojskowych 61,921; cudzoziemców 3,348; osób nie należących do powyższych klas ludności 1297.

Zaledwo w północnej i północno-zachodniej częściach gubernii spotkać się można ze

---

tak wielkiego nakładu, że rząd nie mógł się nań zdobyć. Dopiero jakiś szczęśliwy ulubieniec natury podjął się własnym kosztem to uskutecznić. Tak to dumni synowie Albijonu poświęcają marny kruszec ziemski, na chwałę ojczyzny swojej.

Przejdźmy na bliższą niwę europejskiego... przepraszam galicyjskiego życia. Otóż zewsząd słyszymy radosne głosy: „Galicyja się cywilizuje; robi olbrzymi postęp na drodze przemysłu i oświaty.“ W samej rzeczy posiada ona u siebie wiele bardzo pożytecznych urządzeń których nam brakuje. Ale...... wiele kropek i znaków zapytania postawić by tu można.

We Lwowie powzięto myśl przedsiebierstwa o jakim nie śniło się nawet naszej rzeszy literackiej. Oto powstać tam ma *akcyjne towarzystwo literatów*, w celu wydawania na własną rękę książek i uwolnienia się tym sposobem od zbyt uciążliwej opieki księgarskiej. Nie pozostaje nam nic innego, jak przyklasnąć dobrej myśli. Wartoby też pomyśleć o wzajemnej pomocy. Składajcie panowie ciężko zapracowane cztero lub sześciogroszówki, aby na stare lata nie przyszło wam doznawać losu, jaki spotkał jednego ze starych pracowników pióra. Biedak ten utrzymywał, iż gdyby zbierał przez życie całe, drukowane rękopisy swoje, mógłby za hurtową sprzedaż papieru na powszedni użytek otrzymać tyle pieniędzy, ile potrzeba na całoroczne utrzymanie swojej marnej egzystencyi.

Ale prawda, wam podobno niebo i tej pociechy odmówiło. Nie znacie podobno tej rozkoszy, jakiej doznaje czułe serce literata warszawskiego na widok czczej mamony, która płynie do pustej kieski w zamian za ciężką pracę skołatanej myśli. Honoraryja nie należą podobno do porządku dziennego, w redakcyjach galicyjskich.

Smutne niekiedy dramata odgrywają się na tej biednej ziemi. Oto w *Śniatynie* odbyła się krwawa bójka uliczna pomiędzy ludnością żydowską, podzieloną na dwie partyje: postępowców i starowierców. Obie strony walczyły mężnie. Nikt wprawdzie nie poległ na polu bitwy, ale rannych spora została liczba. Najwięcej ucierpiały podobno insygnija zwolenników tradycyi. Słowem dzieci Izraela dowiedli, że w piersiach ich nie zagasł jeszcze wojowniczy duch Saula. Następnej nocy postępowcy oblegli mieszkanie rabina starowierców, i skoro gospodarz nie chciał otworzyć im bramy, został w okrutny sposób ukamienowany. Dopiero czynna interwencyja władzy policyjnej, uśmierzyła zapał rycerskiego tłumu.

Ale *a propos* synów i cór Izraela. W sferze romantycznych uniesień, jakim niekiedy dusze ich ulegają, zjawia się czasami dysharmonijny blask.... np. perły drogocennej, którą czuła kochanka unosi na łono chrześcijańskiego wielbiciela. Sprawia to zwykle te smutne konsekwencyje, iż władza policyjna i sądowa zmuszoną jest wchodzić w świętą sferę spraw erotycznych, co nie jest bynajmniej wzniosłym epilogiem w wielkiej pieśni, którą poeci i wszelkiego rodzaju czułe dusze, mianem miłości obdarzają. Tego rodzaju sprawa miała niedawno miejsce w *Kielcach*. Sentymentalni kochankowie zamiast u stóp ołtarza znaleźli się niespodzianie przed kratką sądu policyi poprawczej. Podobnego rodzaju niebiańska miłość

wzgórzami, których wyniosłość dochodzi o 240 metrów. Polesie zaś całe, brzegami Prypeci przedstawia płaszczyznę, krainę lasów, jezior, bagien i błot nieprzebytych, którą starożytni nazywali morzem Herodota. Jakoż skutkiem tych przyrodzonych klimatycznych właściwości, wyrodziła się w Pińszczyznie ciężka, mało gdzie znana choroba, głośna pod nazwą *Kołtuna*.

d. c. n.

Listy z praktyki nauczycielskiej.

I.

....Musiałam się zatrzymać z pisaniem do Ciebie, bo przecież listy nasze po za sprawą osobistych uczuć jakie żywiemy dla siebie, mają być (pompatycznie się wyrażę) sprawozdaniem z działalności pedagogicznej, notatką spostrzeżeń, zamianą plonów doświadczenia, w pracy jednocześnie prawie przez nas rozpoczętej, którąśmy obrały z namysłem, seryjo a serdecznie. Trzeba zacząć, bo obiecałam pierwsza wystąpić z korespondencyją; o ileż jednak łatwiej byłoby mi odpowiadać tylko, z twoich myśli i spostrzeżeń wyprowadzać swoje — niż odkrywać własne obserwacyje nieuzupełnione jeszcze i trudne do ujęcia w całości.

W obec świata otaczającego mię, śmieszną, a kto wie czy nie zdrożną rzeczą wydałaby się odkryta we mnie myśl szukająca żywiołu do wychowawczo-pamiętnikowych uwag, mnie samej dziwaczną się ona niekiedy wydaje, ach bo obracam się w otoczeniu tak nowem dla mnie, spostrzegam rzeczy tak obce, brak mi właściwej wiary do sądzenia tego co widzę! Teoretyczne moje poglądy na rzeczy mego powołania nie przypadają do praktyki, wydają się mdłe, niekonsekwentne i słabe, rzeczywistość mię przygniata tak — że nieraz wstyd mi prawie mych dyletantskich pojęć i mrzonek...

Ale nie! Z tych bojaźliwie błąkających się słów nie nabieraj przekonania o mej bezsilności. Wierz mi, ja się pozbędę tej chwiejności. Wypatruję drogę postępowania, badam grunt po którym stąpać zaczęłam, niepewność przejdzie — niech się tylko rozejrzę i ustalę na nowem dla mnie polu.

Zasiadam by zaznaczyć świeże wrażenia, a oto zamiast trzeźwych myśli mających ścisłość naukową, od serca snuć się zaczyna rzewna nitka wspomnień. Kółko rodzinne, dawne towarzystwo, mnóstwo drobnych a tak drogich szczegółów niedawno porzuconego życia w tęskny sposób plączą się z obecnością tak, iż zamiast biedz myślą naprzód po drodze pracy wchodzę w siebie do egoistycznych potrzeb serca. Zamiast dobywać z siebie to wszystko co mam do koła rozsiewać, zwracam się ku światu gotowa skarżyć się że obco, że pusto, że chłodno.

Nie stałam się jednak nauczycielką, wypieram się tego miana całą siłą, a na dowód, porzucam ogólniki i spieszę bez wszelkich czułości i w czysto przedmiotowy sposób dać ci najprzód obrazek warunków w jakich rozpoczęłam zawód nauczycielski.

Puszczenie się nasze w świat szeroki choć w odmienny dla każdej z nas sposób, było ciągnieniem ślepych losów. Z zamkniętemi oczami zrobiłyśmy pierwszy krok który o przyszłości przecież stanowił. Mniejsza już o to, zrobienie tego kroku i przejście wszystkich trudności poprzedzających go, było dla mnie już czynem nielada: było zwycięstwem mej dobrej woli, mej własnej, co jak pojmujesz dodało mi wiary we własne siły i wzbudziło wiele otuchy. Rodzina moja, jak ci wiadomo, była prawie przeciwna tym wszystkim „moim marzeniom.“ Ich kochające serca inną dla mnie przeznaczały przyszłość, ale dla mnie dziwnie upokarzającą wydała się dola *skończonej panny*, *panny na wydaniu*. Dręczyło mię życie bez treści, a cała poezyja możności próżnowania, przeplatanego jakiem idealnem zajęciem, nie mogła mi osłodzić goryczy biernego bytu w charakterze kandydatki do związków małżeńskich. Oddawna już zaczęłam kołatać do wrót samoistnego życia i dokuczać rodzinie mem magicznem słowem „praca.“ Szczera chęć do nauk, powołanie nauczycielstwa skłoniło mię do obrania sobie tego kierunku; z prawdziwym zapałem dążyłam do tego aby się stać wychowawczynią, uśmiechało mi się pole pracy tak rozległe, tak nieskończenie ważne a na nieszczęście tak zaniedbane. Pierwszy wstęp na tę drogę dał mi możność wyprobowania siły moich dobrych chęci. Zniechęcono mię, wystawiono przed oczy całą ciernistość życia guwernantki i dużo czasu ubiegło nim zdołałam usunąć nagromadzone przeszkody. Może to zresztą dzięki tym przeszkodom powstała we mnie reakcyjna siła tem silniej mię ciągnąca w wytkniętym kierunku, imbardziej starano się ukazać w nim strony ujemne, niewdzięczne i śmieszne. Uzyskałam wreszcie patent na nauczycielkę i — zapisałam się w *kantorze*. Ty nie wiesz co to jest kantor, nie przechodziłaś przez ten rodzaj bazaru. Trudno Ci będzie dać poznać wrażenia przykre upokarzające a zarazem śmieszne, doznawane przez indywidua po raz pierwszy wystawiane w tym pociesznym kramiku. Jestto pierwsze zanurzenie się w rzekę najprozaiczniejszej prozy, a przy tej operacyi giną już w znacznej części idealne złudzenia co do sposobu zapatrywania się ogółu na wychowanie, wychowawców i sumienności z jaką się tu traktują sprawy wychowania.

d. c. n.

KRAJ I JEGO CIEKAWOŚCI.

WYCIECZKA DO OPOCZNA

PRZEZ

Kornelego Kozłowskiego.

(Dokończenie).

Za kościołem stoi plebanija, budynek struktury nie dzisiejszej, z pięterkiem, wystawiony w r. 1622 przez księdza Liwskiego proboszcza,

ze zbyt ziemskiemi dodatkami jest okrutnem pogwałceniem praw ducha przez marne potrzeby ciała. O nikczemny kruszczu, jakże wielką jest potęga twoja!...

Nie mamy bynajmniej na myśli wykrzyknika tego, donosząc wam, łaskawi czytelnicy, o nowej operze, jaką ma nas obdarzyć niezadługo *p. Trapszo w Alhambrze*. Czy szanowny dyrektor uważa uszy nasze za dosyć cierpliwy instrument, aby pastwić się na nim za pomocą tonów, o których ani się śniło wielkim twórcom liry muzycznej? — Czy może gdzieś w zakątkach prowincyjonalnych wynalazł nowe nieznane dotąd talenta wokalne?... Nie wątpimy, że panowie artyści przywiozą nam zdrowe organa głosu i dobre chęci. Nie wiemy jednakże, czy publiczność zadowolni się tym skromnym datkiem. Bo, że w ubiegłym roku znosiliśmy cierpliwie niedyspozycyją wokalną „Pięknej Heleny“ lub szlachetne wysiłki „Sinobrodego,“ to nic dziwnego, gdyż sama treść sztuki wraz z ponętnemi akcessoryjami nęciła wrażliwe dusze mniej wybrednych zwolenników wesołej muzy. Ale teraz... z prawdziwem zapewne politowaniem przypatrywać się będziemy smutnemu losowi Halki i Traviaty, lub smutniejszym jeszcze operacyjom nad produkcyją nieszczęśliwego Fausta.

Tymczasem lira muzyczna nadsprejskiej krainy zachwyca swych wielbicieli w *Dolinie Szwajcarskiej*, ku wielkiemu utrapieniu proroczych felijetonistów i reporterów. Widocznie nie wszystko, co z obczyzny przyjeżdża, z góry może być potępionem. Orkiestra p. *Fliege* od znacza się starannem wykonaniem pięknych utworów muzycznych.

A nasze Towarzystwo muzyczne!... Nowy Dyrektor działa energicznie. Ale cóż pomogą największe usiłowania przewodnika, jeżeli większość lekceważy sobie przyjęte obowiązki. W składkach olbrzymie pozostają zaległości. Czyż i w sprawach finansowych prywatnych instytucyj, niezbędnemi są środki egzekucyjne?. Czyż dźwięki podniosłej muzyki, unosząc czułe dusze w krainę marzeń i zachwytów, każą zapominać o tak marnych sprawach ziemi?

Z innych instytucyj wspomnieć należy i o cyrku p. Salamońskiego. Otóż niedawno odbył się tam benefis żony dyrektora. Wielbiciele wdzięków i talentu artystki złożyli u nóg jej dwa piękne wielkich rozmiarów bukiety. Cóż dziwnego, że pełni artystycznego zapału synowie niemieckiej ziemi, dążą do naszego zaścianka, jak do obiecanej krainy... Gdzież bo bardziej poznają się na ich wzniosłym talencie, gdzież bardziej odczują i zadowolnią pragnienia groszożądnego serca!...

Tymczasem panowie filantropi, oszczędźcie choć trochę dobroczynnego grosza, bo zapewne niedługo nieszczęśliwa prowincyja znowu zapuka do litościwych serc naszych!... Pożerczy ogień w wielu miejscach wielkie już poczynił szkody. Szczególniej zasługuje na współczucie biedny *Międzyrzec*, który już kilkakrotnie uległ smutnemu losowi. A ludność tam uboga — spotka się z bladem obliczem nędzy i głodu! Poczciwa, zacna i szlachetna Warszawa nieomieszka, bez wątpienia, otworzyć dobroczynnej kieski swojej...

którego napis grobowy z r. 1624 czytaliśmy już w kościele. Ksiądz Liwski lubił jak się zdaje porządek i miał fantazyją, wystawiwszy piętrową kamieniczkę, umieścił na froncie jej, nadedrzwiami herb królewski, orła w koronie, na piersiach którego herb Wazów. Snopek, niżej po bokach dwa herby szlacheckie, po jednej stronie Gryf, po drugiej Dębno, wszystko ujęte w jeden piękny ornament i bardzo starannie w kamieniu wyrzeźbione. Pomiędzy herbami zostawione jest próżne pole, na którem napis jakiś przez księdza Liwskiego był położony—dziś jest zatarty.

Wspomnieliśmy że Opoczno odznacza się niezwykłym w miasteczkach naszych porządkiem i czystością; dworki choć małe, ale schludne, starannie wybielone; drzwi, okna, sztachetki malowane. Niedawno jeden z sąsiednich miastu obywateli, okazałą pod zamkiem wystawił kamienicę. W r. 1870 zasadzono drzewkami i urządzono rodzaj skweru na placyku, na którym przedtem było wiecznego błota zbiorowisko. Obecnie placyk ten, w rozumieniu mieszkańców większą przynosi miastu chlubę, niż np. Ogród Saski Warszawie, albo Champs Elysées Paryżowi.

O jednej jeszcze osobliwości mało nie zapomniałem, jest to figura Chrystusa siedzącego na kamiennej kolumnie, stojącej właśnie na tym placu. Powiadano mi, że przy porządkowaniu i urządzaniu sławnego skweru, projektowano zniesienie tej figury, mieszczanie jednak, upatrujący szczególną nad miastem łaskę Boga, którą opiece Chrystusa na tej figurze wyobrażonego przypisują, tyle starania dołożyli i z taką w tym razie jednomyślnością wystąpili, że figurę na miejscu zostawiono. Nie bym nie miał przeciwko pobożnej intencyi mieszczan Opoczyńskich, gdyby nie okropne dłuto rzeźbiarza, które obliczu Chrystusa nadało kształty wcale nie ludzkie—i dla czego zastąpienie tej figury inną, odpowiedniejszą prawidłom już choćby nie estetyki, ale prostemu pojęciu rysunku i proporcyi, uważalibyśmy za wielce pożądane.

Opoczno—jako miasto powiatowe—jest siedliskiem władz, do których należą: Zarząd Naczelnika powiatu—Kasa Okręgowa—Magistat. — Akcyza—Kancelaryja Komisarza włościańskiego — Sąd Okręgowy —Komenda Żandarmów—Stacyja telegraficzna — Poczta —Szkoła elementarna, do której w r. b. uczęszcza dzieci 60—Szpital św. Ładysława. Jest tu kancelaryja Rejenta — dwie Ajentury prywatnych Towarzystw ubezpieczeń — mieszka tu 2-ch Doktorów i jest Apteka.

Dopełniony w r. 1828 opis Opoczna wraz z pomiarem, przez jeometrę Jarockiego, podaje niektóre dane statystyczne i uwagi, które z małą odmianą są i dziś obrazem stanu miasta i jego mieszkańców. „Katolicy—(słowa tegoż opisu) — zajęci tu są najwięcej rolnictwem, mają bowiem grunta w glebie dobrej, siana dosyć, żyzne, obszerne i bliskie pastwiska. Ogrody warzywne tak dogodne i bierne, że trudno podobnych widzieć można, a przeto są w dobrym stanie. Przywiązanie do rolnictwa, a po części i gnuśność mieszkańców, pomimo łatwości jaką się nadarza z dwóch rzek, wedle miasta płynących, nie dozwoliła dotąd fabrykom w tem mieście egzystować; tak wyjąwszy 2 garbarzy, 1 tkacza i 3 kapeluszników, których wyroby na małą uwagę zasługują, zresztą dobrego rzemieślnika w mieście nie masz. Znajduje się wprawdzie kilku niezłych kowali, trudniących się kuciem bryczek i wozów, rozprzedawanych w różne okolice Polski, lecz tak bryczki, jako też i wozy, nie są w mieście robione, dla braku stelmachów, lecz we wsiach pogranicznych.

Co się tyczy handlu, ten —jak powszechnie w miastach naszych widzieć można — tak i w tem mieście, jest w ręku żydów, u których dostanie kawy, cukru, korzeni, trunków zagranicznych, perkalów, płócien, wyrobów żelaznych różnego rodzaju i t. p. Żydzi trudniący się handlem, mają się dobrze, zresztą wielka nędza.“

Jako *curiosum* zupełnie miejscowe, opis podaje:

— „Jest tu zwyczaj, że jarmark na konie zaczyna się dopiero ku wieczorowi i trwa blisko do godziny 11 w nocy—i dla tego w tem mieście można nabyć koni z licznemi wadami.“

Miasto zasiadło na 309 morgach. Ludność w r. 1828 wynosiła głów 3592, w tej liczbie chrześcijan 1679, żydów 1922, ulic wraz z placami było 28. Dziś ludność wynosi głów 3556, t. j. chrześcijan mężczyzn 669 (Niemiec 1), kobiet 706, żydów mężczyzn 1062, kobiet 1119. Wszystkich ulic jest 15, domów murowanych 30, drewnianych 252.

Cyfry dzisiejsze wcale więc nie wykazują jakiegoś wzrostu i polepszenia. Mimo pobudowania dróg szosowych, które połączyły Opoczno bezpośrednio z Warszawą, Radomiem, Piotrkowem i Kielcami, mimo że stacyja drogi żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej w Piotrkowie, stanowi istotnie dla Opoczna punkt bardzo ważny, wpływając stanowczo na zwiększenie ruchu, mianowicie pod względem handlu zbożowego tych stron, jednakże stan miasta w niczem się od 50 lat nie poprawił. Ludności nie przybyło, tylko stosunek ludności żydowskiej do chrześcijańskiej zrobił się jeszcze wybitniejszy. Kiedy chrześcijan ubyło przeszło 22%, ludność żydowska powiększyła się blisko 13 $^1/_2$%.

Co do przemysłu, takowy ogranicza się tu do jednego browaru i jednej garbarni, w której pracuje 2 robotników. Jest też tu i młyn wodny, wart z całem swem urządzeniem najwyżej 3,000 rubli, a jednak przynosi właścicielowi—jak mi to powiadano—około 12,000 rubli rocznie.

Zupełną przewagę co do liczby, trzymają w Opocznie szewcy, gdyż jest ich tu około 50; innych pojedyńczych partaczy, tytułujących się majstrami, znajdzie się tu coś, jak w każdem innem miasteczku. Wszakże bardzo oni są nieudolnymi przedstawicielami krajowego rękodzielnictwa i przemysłu, a wyroby ich, mogą zaledwie niewybredne potrzeby prostego ludu zaspokoić.

Kamienna Wola, w Kwietniu 1875 r.

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY

II.

RZEŹBA.

Sześć lat upływa od chwili, gdy ostatni raz obszerniej pisząc o najplastyczniejszej ze sztuk postaciowych — rzeźbie (Tyg. Illustr.) zadaliśmy sobie ze ściśniętem sercem pytanie: azaliż rzeźba — najcudniejsza religii córa, poezyi siostra, może kiedyś tak u nas zakwitnąć, jak muzyka i malarstwo.

Z trudnością przypuszczaliśmy, aby te szlachetne dążności, te zapasy z niewdzięcznem północy niebem, ten artystyczny zapał, ta siła wyobraźni — fantazyi — że wszystko to jest szamotaniem się z niecofnionem fatum—z prawami natury i cywilizacyi — które skończy się strawieniem własnem ogniem. *To by ov not to by* — być czy nie być rzeźbie u nas? dotąd niepodobna nam tego hamletowskiego rozwiązać pytania. Istnieje wprawdzie u nas, i powiększa się nawet rok rocznie liczba artystów — rzeźbiarzy, pomników i pałaców wewnątrz i zewnątrz błyszczących sztukateryją a nawet statuami — lecz przyrost ten odpowiada zaledwie normalnemu powiększaniu się ludności, potrzeb, zbytku i ogólnej produkcyi. Jak przed sześciu jednak laty, tak samo i dziś niezmierna przepaść dzieli, dwie rodzone siostry — malarstwo i rzeźbę. Pierwsza w całej pełni rozkwitu swych wdzięków, zalewa nas potokami barw i światła; żywa, ruchliwa, tryskająca ogniem namiętności — porywa, olśniewa, zdumiewa, czaruje całe masy, kornie uchylające czoło przed gienijalną potęgą jej kapłanów. Ona czuje się panią i władczynią, potrzebą społeczeństwa, duchem czasu, światem marzeń... Zamknijcie jej świątynie, a tłumy wyważą podwoje — bo tłumy te były świadkiem wyłonienia się ze krwi i uraganu, z bólu męczeńskiego i świetlanych marzeń — jak Aphrodithe z piany morskiej — polskiej szkoły malarstwa.

„Anioł“ z opuszczonemi skrzydły, załzawione oko topiący w grobowej urnie, który wyróżnia się z pomiędzy licznych prac p. *Faustyna Cenglera*, znajdujących się na Wystawie — może być najwłaściwszym symbolem dzisiejszego (chcemy wierzyć że to przejściowy) stanu rzeźby u nas. Zamknijcie salon rzeźby na Wystawie, a zaręczamy że ani jednego biletu wejścia mniej nie sprzedacie. Nikt się nią nie interesuje, nikt nie zna jej adeptów, nikt nie rozróżni zalet jednego biustu lub płaskorzeźby od drugiej. To smutne — ale niestety prawdziwe. Zwątpienie ogarnia nas, gdy znajdziemy się w tej małej salce, ustawionej do koła *smutnemi* gipsami z nagrobków produkowanych przez p. *Cenglera*. Nic więcej bowiem tam niedojrzycie. Nawet p. *Syrewicz* płodny i pracowity artysta, nieschodzący z raz zajętej placówki — prawdziwy pioner rzeźbiarstwa u nas, umiejący nie tylko na obstalunek pracować, a jeżeli na obstalunek — to tak samo jak dla sztuki tworzący; nawet p. *Ludwik Kucharzewski*, wcielający ideę piękna w najdrobniejszą liniję choćby najniewdzięczniejszej kompozycyi — obydwa zda się opuszcza-

ją ręce. Prawda p. S. wykuł popiersie ś. p. Przeździeckiego w marmurze, mające zwykłe zalety tego sumiennego artysty i zręcznego kompilatora. Pan Kucharzewski ustawił niedawno posąg X. Baudoin'a w Szpitalu Dzieciątka Jezus — posąg któremu oddawaliśmy nieraz już gorące pochwały — lecz na miłość Boską! to wszystko za mało. Gdzież jesteś plejado polskich rzeźbiarzy? Niestety... kraj was widać nie potrzebuje, nie zdolny wam dać nawet kawałka chleba. Rzuciliście go dla obcych, nie pomni że krwawą tylko pracą, przebojem, wytrwałością, gienijuszem i gorzkiemi nieraz łzami, możecie wywalczyć u nas, prawo obywatelstwa sztuce. *Ryger* najzdolniejszy może z pomiędzy was pracuje we Florencyi; *Steinmann* tyle obiecujący został medalijerem w mennicy petersburskiej; *Górnicki* kustoszem Tow. Zachęty; *Marconi* rzucił nas dla Lwowa; *Pruszyński* ów romantyk w rzeźbie zarabia grubo na sztukatoryjach, zapominając o swem kapłaństwie i poniewierając wielki talent; *Stattler* gdzieś zniknął; *Lanci* rysuje karykatury; *Mantzel* został bogatym kamieniarzem...

A przecież od energii, zapału i przeświadczenia o swem posłannictwie samych artystów zależy przyszłość sztuki. Nie mecenasi i kapitały, nie społeczeństwo nadaje impuls sztuce. Rozbudźcie zamiłowanie, przekonajcie o potrzebie, kształćcie smak, rozwijajcie poczucia piękna a pole otworzyć się musi. „Stukajcie a będzie wam otworzono." Każda idea tym tylko sposobem realizowała się, wcielała. Jeżeli nie stworzycie sami sobie pola, społeczeństwo zbyt jest konserwatywne by wam choć piędź ziemi ustąpiło. Wołać o zachętę, o pomoc, o środki, będzie zawsze głosem wołającego na puszczy. Tylko silnemi ramiony, złączeni solidarnie miłością sztuki, zdołacie pchnąć ją na nowe tory. Gdy religija zamiera, gdy bogowie uciekają, porzućcie marzenia i scholastyczne tradycyje — zacznijcie myśleć wraz z nami i zamiast tuzinkowych—twórzcie dzieła zgodne z dzisiejszym prądem cywilizacyi. Pomnijcie że sztuka jest dla ludzi, przemawiajcie więc zrozumiałym dla mas językiem. Pozwólcie spokojnie genijalnemu tułaczowi—poecie, wykuwać biblijne poemata; przelewać w brąz nadmiar wezbranych serca uczuć; wy przemówcie inaczej do ludu. Lecz pamiętajcie, że chcąc przemówić do uczucia — obudzić wrażenie — trzeba samemu czuć. Temu zawdzięcza *Lenartowicz* swą sławę rzeźbiarską. Od razu siłą uczucia stanął na równi z dawnymi i tegoczesnymi mistrzami. Lecz chcąc odczuć jakąś wielką myśl—wcielić ją w marmur lub płótno trzeba przejąć się nią, więc *trzeba myśleć.*

Powtarzać nie przestaniemy, że fałszem jest, jakoby wielkie dzieła sztuki stworzyła wyobraźnia spotęgowana do ideału. Jedna chwila myślenia daje więcej pokarmu umysłowi, niż całe dnie bezczynnych marzeń. Potrzeba było prócz genijalnej fantazyi, wielkiej *znajomości* serca ludzkiego, ogromnej potęgi *myśli* — trzeba było być wielkim myślicielem i wielkim obywatelem, by stworzyć Laokoona i Ilijadę, Boską Komedyję i Nędzników. To myśl wcielona — idea, nie marzenie — fantazyja; to dłoń mistrza dobywającego harmonijne tony ze wszystkich strun serdecznych, lecz niechorobliwe hallucynacyje mistyka lub marzyciela.

Gdyby większość młodych artystów sięgających po ten — cierniowy częstokroć — wieniec sławy, pamiętała o tem, możebyśmy w końcu i stworzyli szkołę rzeźbiarstwa odpowiednią warunkom naszego kraju, zamiast zużywania sił swego talentu na produkowanie rzeczy, które ani przemawiają do nas zrozumiałym językiem, ani my zrozumielibyśmy je, choćby duch pygmalijona ożywił te klasyczne głowy. Dla tego za zasługę poczytujemy panu *Cenglerowi*, że wprowadzić się stara realny żywioł w sferę, która dotąd naśladownictwem ślepem, rutyną i manierą żyła. Jego dzieciaki, mianowicie Leśniewska, Łapiccy i Kańscy duża gruppa z 3 osób, robią prawdziwe wrażenie, nie mające nic wspólnego ze sztywnemi cyprysami i plastyczną drapeń ryją płaczki piastującej urnę, lecz tchnące powietrzem ojczystych kurhanów, rzewnem uczuciem jakiem i artysta umiłował swój przedmiot.

Nie możemy jednak tego powiedzieć o „studyjum" przedstawiającem kobietę o plastycznych rysach, ale to tak klasycznych, że nic a nic natury nie umieliśmy się w tej głowie dopatrzeć. W innem za to „studyjum" młodzieńca, przebija dużo charakteru, czuć, że to modelowane z natury i do natury podobne. Też same cechy mają dwie rodzajowe rzeźby tegoż artysty: „Zawstydzona" biust mniejszej niż naturalnej wielkości, udatnym ruchem i dobrym rysunkiem trafnie malujący myśl autora, i „Pierwsza pociecha matki," fatalnem zakończeniem w połowie bioder niwecząca wrażenie, które mogła była wywołać grupa dobrze pomyślana, lecz w figurze dziecka i w ustosunkowaniu wielkości dużo pozostawiająca do życzenia.

Jednym z najzdolniejszych młodych artystów jest zwycięzca na ostatnim konkursie p. *Karol Kloss*, którego „Wisła"—bądź co bądź, pomimo wielu przyjacielskich reklam pisanych po gazetach w obronie zwyciężonego modelu, godną była nie tylko pierwszej nagrody, jaką otrzymała, ale wykucia w monumentalnej wielkości, choćby dla przyozdobienia fontanny. Po kilkuletnich studyjach zagranicą, pan Kloss wróciwszy do Warszawy, w krótkim czasie dowiódł, że nie stracił nic z talentu, nauczył się dużo, pozbył się pewnego niesmacznego, trawiastego manieru w traktowaniu włosów, słowem stał się artystą, poważnie zapatrującym się na swe zadanie. Na Wystawie obecnie znajduje się kilka portretów medalijonowych tego artysty—bardzo podobnych, miękko traktowanych i dobrze rysowanych.

P. *Celiński* oryginalnie pojmuje naturę. Nie idzie on utartą drogą i w biuście „babci" oraz X. Jerzego Lubomirskiego, dowiódł niepospolitego talentu. Zdaje nam się jednak, że w głowach pełnych wdzięku i pięknych linij, manier ten powiększyłby tylko trudności zadania artyście.

Weloński i *Godecki* należą a przynajmniej zbliżają się do tej samej szkoły. Ostatniego „Anioł Stróż" ma dużo wdzięku, miękości i harmonii w układzie; „głowa starca" *z terra cotty*, jest doskonałem, charakterystycznem studyjum.

Nowakowskiego medalijon „Madonna" wypukłorzeźba, przypomina układem świetną epokę Odrodzenia. *Marczewskiego Hipolita* „studyjum" przypomina za to rąbane toporem bałwany, a *Kamińskiego Stanisława* „Głowa Chrystusa" jest parodyją Chrystusa pod względem wyrazu, parodyją sztuki pod względem wykonania i rysunku.

Henryk Filipowicz.

Z PRZYPADKOWEJ PODRÓŻY

„Nieszczęście nie przychodzi nigdy samo jedno." Przysłowie to dotkliwie sprawdziło się na mnie, który po długiem siedzeniu w dusznej Warszawie, postanowiłem odwiedzić zacnego emeryta mieszkającego w Skierniewicach i zażyć wrażeń Ciechocinka. Jeżeli jednak myślicie mili czytelnicy, a zwłaszcza nadobne czytelniczki, że spotkacie tu opisanie sezonu kuracyjnego w zaludnionej chwilowo osadzie nadwiślańskiej—i jeżeli tego oczekujecie, to was wcześnie wolę rozczarować oświadczając, że mimo silnej woli, nie przynoszę wam ani jednego słowa od błotodajnych źródeł i wyschłych tężni, a to z tej przyczyny, że nieszczęście nigdy nie przychodzi jedno.

Chcąc zyskać parę godzin czasu dla zatrzymania się w Skierniewicach, musiałem wyjechać przed południem; lecz czy to skutkiem jakiegoś fatalizmu, czy dla tego że mi się od dzieciństwa wszystko wiedzie na opak — spóźniłem się nieco na pociąg wychodzący z Warszawy o godzinie 11 minut 10, i wpadłem na platformę, mówiąc technicznie: *„po drugim dzwonku."* Nurzam się wzrokiem w wagonach — jeden, drugi, trzeci — pełne; chcę siadać do czwartego — wstrzymuje mnie konduktor lakonicznym argumentem: „nie można, tu same damy a pan pali." Niestety! fatalny nałóg pozbawiał mnie przyjemności korzystania z tak miłego towarzystwa; ale nie miałem czasu zastanawiać się długo. Biorę za klamkę zamkniętego wagonu — znowu protest: „tu nie można, to wagon służbowy."

— Gdzież więc mam siadać? — wołam zrozpaczony.

— Tu jest miejsce — odzywa się głos kobiecy z następnego wagonu. Chwytam kotwicę zbawienia w porę, bo trzeci dzwonek uderzył właśnie, kiedy zająłem miejsce naprzeciw osoby wybawiającej mnie z kłopotu.

— Na samym wstępie muszę się przyznać do egoizmu, który mi nasunął myśl do zaproponowania panu miejsca w tym przedziale: najprzód pomyślałam sobie że z ludźmi jak pan, w podróży znudzić się nie można...

— Dziękuję pani za zrobiony mi zaszczyt, lecz ja nie przyznaję sobie...

— Widząc przytem że pan pali cygaro, poproszę o pozwolenie ognia. Mówiąc to, wydobyła z podróżnej torebki papieros i przytknęła do podanego cygara.

Nastąpiła chwila milczenia. Obrzuciłem wzrokiem obecnych: prócz mnie, było pięć

osób; wszystkich pierwszy raz w życiu widziałem; moja vis-a-vis, z którą tylko co kilka słów zamieniłem, była kobietą nie pierwszej młodości, ale w twarzy jaśniała niepospolita uroda, całe zaś jej obejście się zdradzało damę wykształconą i wyższego towarzystwa. Obok niej siedziała starsza od niej kobieta, widocznie giermańskiego szczepu, trzymała się względem pierwszej z respektem, niby rodzaj służącej. Za nią w rogu siedział niepomiernej tuszy ziemianin wyrzekający półgłosem na biedę; ten z chwilą ruszenia pociągu skwapliwie zabrał się do drzemki. Obok mnie zajmowali miejsce dwaj podżyli jegomoście jadący do swych rodzin, zawyrokowanych przez lekarzy na kuracyją w Ciechocinku. Żwawo udzielali sobie wzajem uwag o wszelkich niewygodach i drożyznie miejsca, w którem ich żony i dzieci skazani byli na sześć tygodni pobytu. Dla tego właśnie wyjechali z Warszawy wcześniej, aby w Skierniewicach zyskać parę godzin do następnego pociągu i przez ten czas tanio zakupić niezbędne przedmioty, które ci poczciwi ojcowie rodzin, nazywali artykułami życia.

Moja nieznajoma widząc zajętych, nachyliła się nieco ku mnie,—i pokazując wzrokiem, rzekła:

— Widzisz pan, że egoizm mój wybaczyć mi można, tym więcej że nie mam nic do czytania, a pisma humorystyczne, z któremi gawrosze pchają się do wagonów, aby za dziesiątkę sprawić rozrywkę pasażerom, nie wiele grzeszą smakiem i humorem...

— Sądziłbym że może nie wszystkie.

— Śmiech szczery wywołany błyskiem humoru, świadczy o prawdzie i doniosłości każdego humorystyczno-satyrycznego ustępu. Lecz gdy pismo podobne zawiera docinki osobistości zaprawne żółcią, szydercze aluzyje, śmieszności skarykaturowane, i wszystko to kraszone brudną solą jałowego dowcipu, zdaje się wołać na czytelnika: „śmiejże się teraz!" — to taki humorystyczny bigos, zamiast śmiechu i z nim uznania prawdy — w jednych litość, w drugich odrazę obudzi.

— Zatem nasze humorystyczne pisma...

— Podwójnie grzeszą: raz, z własnej woli, mnożąc się zbytecznie, gdy na dziś dosyć byłoby jednego; powtóre, mimo woli, że podjąwszy robotę ze skalpelem w ręku, w ciasnych swoich szrankach zużywają potężne może siły, mówię może — bo któż się przeświadczy o sile sokoła z kapturem na oczach i związanemi skrzydłami. Przecież pan rozumiesz, że prócz trywijalnych scen ulicznych, dumnych a skąpych dorobkowiczów, zrujnowanych nierządem panków, różnych transfiguracyj izraelitów, prócz źle wychowanych kobiet, czyhających na posagi adonisów, ulicznych lowelasów i różnej barwy oszustów, jest jeszcze bardzo wiele ciemnych punktów w naszem społeczeństwie; więc wyprowadzenie ich na światło i okrycie śmieszności śmiechem humoru, a grubszych wad wzgardą, to przyszłe zadanie naszych pism humorystyczno-satyrycznych.

— Z tego co słyszę, wypada mniemać, że pani jest więcej za krytyką poważną.

— Nie brak jej w naszych najpoważniejszych i poważnych dziennikach, tylko jej treść równie jak forma dziwnie się przedstawia. Najczęściej przyczepia się do jakiego sprawozdania, i wtedy krytyk, który naturalnie jest członkiem redakcyi, mając za sobą powagę pisma, którego w części jest reprezentantem, pisze krytykę w miarę swej specyjalności i humoru. Że tak jest rzeczywiście, przekonywają nas często wprost przeciwne zdania panów krytyków, szczególniej „Wieku" i obu „Kuryjerów." Najczęściej dorywcze krytyki spotykamy w naszych pismach przy sprawozdaniach o teatrach, koncertach i innych sztukach pięknych. Sprawozdawca — krytyk, dla swego istnienia musi napisać znany w języku dziennikarskim artykuł; o teatrze i koncercie musi go napisać w nocy, bo współzawodnictwo dziennikarskie nie dopuszcza zwłoki. Gdy więc w podobnej krytyce zbiorą się: niedostateczność specyjalnych wiadomości, nocne nieusposobienie, krótkość czasu, uboczne lub pewne antagoniczne względy, to cóż powiedzieć o takiej krytyce? — a jednak pisma te czytają dziesiątki tysięcy ludzi, do przeczytanego przywiązują wiarę i nastrajają się do zdania krytyka. Lecz jakież następuje obałamucenie, gdy w innych pismach spotykają różniące się zdania!

Jeżeli krytyka jest przewodniem światłem, to różnić się nie może przy jednakowym zdrowym poglądzie, że jednak jest przeciwnie, widzimy to bardzo często, i dość jest przypomnieć sobie nie jedno uprzedzające zdanie, zwłaszcza o debiutujących artystach, które później panowie sprawozdawcy z niemałym kłopotem prostować muszą.

— Więc jakiż jest środek przeciwko tym sprawozdaniom i doraźnej krytyce?

— Bardzo prosty. Przedewszystkiem brak u nas pisma specyjalnego poświęconego sztukom i teatrowi. Za granicą dzienniki podobne cieszą się wielkiem powodzeniem. Jeżeli więc pismo takie traktować będzie w ogóle o sztukach pięknych i teatrze całego świata a w szczególe o naszem pod tym względem małem bogactwie, to z pewnością ani rozmiary jego nie odstręczą nikogo, ani chęci do czytania nie zbraknie. W takiej to redakcyi powinni wziąść udział ludzie fachowi i światli, którzy w sprawozdaniach swoich rozumną krytyką przyczynią się do podniesienia wszelkich gałęzi sztuk i teatru, bo szczególniej co do tego ostatniego, wyznać trzeba że mu wiele brakuje...

— Słyszałem jednak, że i zagraniczne sceny zazdroszczą nam naszej komedyi i dramatu.

— Prawda, że dramat i komedyja miewają u nas swoje szczęśliwe epoki, zawdzięczając to po największej części przybywającym skądinąd samodzielnie wyrobionym zdolnościom. Lecz abyśmy mieli prawdziwą zasługę, potrzeba aby talenta wyrabiały się w łonie naszej sceny, potrzeba szkoły z rozległym planem i mądrem kierownictwem, a przedewszystkiem trzeba aby przyszłe artystki i artyści przychodzili z pewnym zasobem nauki, z wykształceniem umysłowem. Przeszłość potwierdza to zdanie: żyją w pamięci starszych ludzi imiona Ledóchowskiej, Żuczkowskiej (Halpertowej), Kudlicza, Werowskiego, Piaseckiego i innych kolosów naszej sceny. Byli to namaszczeni kapłani sztuki, bo wprzód umysł swój zbogacili nauką zanim wstąpili na deski sceniczne.

A cóż powiedzieć o naszej biednej operze; czy doczekamy się tych chwil przyjemnych spędzonych w teatrze, kiedy w składzie opery byli: Rywacka, Turowska (Leśkiewiczowa), Riwoli, Troszel, Żyliński i Dobrski, —poczet to był wspaniały, niedopuszczający zagranicznych przybyszów, i tylko niekiedy włoch lub włoszka w przejeździe przez Warszawę, na parę wystąpień znajdowali przyjęcie na naszej scenie. Nasi ekonomiści i różnych tendencyj filantropi wiele piszą o marnowaniu kapitałów zagranicą przez niepopieranie własnych fabryk i przemysłu; czemuż panowie estetycy i światli dobrej woli ludzie nie podnoszą głosu za poparciem i rozszerzeniem naszej opery, a tem samem przeciw niepotrzebnemu i zbytecznemu sprowadzeniu do nas trup włoskich?... Czemu wreszcie dyrekcyja opery, jako gospodarz wydaje tak znaczne pieniądze za granicę?..

— Lecz do utworzenia na większą skalę opery potrzeba i talentów i środków, a jedne i drugie nie łatwo się znajdują.

— Przepraszam Pana, gdybyśmy zebrali choć cząstkę tylko naszych rodzinnych talentów, rozrzuconych po scenach całego świata, i gdybyśmy im dali to, co dajemy Włochom, mielibyśmy wszystko czego pragniemy.

— Ale zgodzi się pani zapewne na to, że tak głosy śpiewających jak i gust publiczności zużywają się, zatem dla odnowienia składu, trzeba mieć nowe siły w zapasie.

— Właśnie to należy do środków o które pan potrąciłeś. Materyjał, czyli talenta bez nauki znajdą się u nas zawsze jak się znajdują i za granicą, trzeba ich tylko umieć wynaleźć; a że materyjały te najczęściej ukryte są zdala od świata, w skromnem zaciszu i w zbyt miernym stanie aby kształcić się mogły własnymi środkami, trzeba im przyjść z pomocą, nie żałować nakładów na naukę śpiewu, za którą odwdzięczą się na scenie, wszystkim dającym pomoc w tym kierunku. Obecnie tego wszystkiego nie mamy, — nadto, wyrobienie sceniczne jest u nas całkiem zaniedbane: każdy zostawiony sobie, bez rutynicznych wskazówek, tworzy sytuacyją według swego pojęcia a częściej przyzwyczajenia, i nie raz zamiast obudzić w słuchaczach uczucie rzewne, sprawia wprost przeciwny efekt, a przecież śpiew w operze bez odpowiedniej gry, jest tylko estradowym popisem. Jeżeli więc obok materyjalnego poparcia młodych talentów, będziemy mieli zdolną reżyseryją i jednego przynajmniej z dramatu światłego kierownika gry; to i wypełnią się środki o których mówimy; a tymczasem z nieodpowiedniemi siłami nie można posuwać do zenitu sztuki, jak równie nie można psuć głosu artystów i smaku publiczności, wystawianiem ladajakich oper. Zamiast tego, łatwo utworzyć repertuar z bardzo dobrych dzieł dawno nie śpiewanych i pyłem w biblijotece teatralnej pokrytych. Wystawienie ich odpowiednie do sił obecnych powiedzie się niezawodnie, publiczność nie spodziewając się zawodu, zawsze zapełni teatr i napełni kasę, a zatem da najlepszy środek do przeprowadzenia rozwoju i postawienia opery naszej na pierwszorzędnym stopniu, co łatwiej jeszcze stać się może przez zmniejszenie kosztów na utrzymanie baletu, który w niewielkim składzie może być przydatnym do wykonywa-

nia charakterystycznych tańców w operach, wszelkie zaś balety mimiczne w połączeniu z różnych nazw skokami, ustąpić powinny miejsca teatrowi maryjonetek, które pod tym względem daleko wyżej stoją. Eh — wieleby o tem wszystkiem mówić i pisać trzeba, by nakoniec coś z tego było... Ale ja się tu rozwodzę nad kwestyjami, które jeśli nie są, a przynajmniej nie powinny być dla pana obojętnemi, to jednak nudnemi być mu mogą.

— Dla czego pani tak sądzi?

— Bo przedmioty te... jakby to powiedzieć — nie są z pańskiego pola.

Za kogo ona mnie bierze, pomyślałem sobie, i chciałem się właśnie zapytać o to moje pole, gdy po chwili, jakby dokończając słów swoich, rzekła:

— Gdybyśmy tu debatowali o rzeczach sądowych, o ważnych a zawikłanych sprawach, bezwątpienia byłyby to przedmioty więcej zajmujące...

Aha, więc mnie ma za sędziego czy adwokata — tym lepiej, ale kto ona? — zapytać się o to wprost — chryja, na to nawet najmniej ucywilizowany świat nie pozwala. Zostawić wykrycie tego jakiej szczęśliwej okoliczności — na to trzeba trafu i czasu, a jednak im więcej myślałem nad środkami wiodącymi do tego odkrycia, tym uparciej pragnąłem rozwiązania, kto jest ta kobieta nie mająca cudzych włosów na głowie, blanszu i różu na twarzy, ani oczów podczernionych, ani ust karminowanych, ani czarujących wdzięków pierwszej młodości, a jednak przykuwającą do siebie obejściem i rozmową, tak, że przebywanie z nią drogi choćby najdalszej, zdawałoby się jedną chwilą, zmąconą jedynie myślą, że podróż ta skończyć się musi. Ale gdzie się skończy dla mnie? czy przed rozstaniem dowiem się kto ona? — nie było czasu do zastanowienia się nad tem, — pociąg bieg zwolnił — stanęliśmy — Skierniewice.

Myśl szczęśliwa błysnęła w mojej głowie — wysiadam.

— Czy pan jedzie dalej? zapytała moja nieznajoma.

— Tak pani — i pobiegłem do kasy, bo mając tylko bilet do Skierniewic, trzeba było pomyśleć w dalszym ciągu o ewentualnej na dwie drogi podróży.

Kiedym odchodził od kasowego okienka, musiałem mieć minę tryumfującą — byłem zabezpieczony na dwie linije kolei: Warszawsko-Wiedeńską i Bydgoską. Od konduktora dowiedziałem się, że moja vis-à-vis jedzie dalej koleją Wiedeńską. Chociaż wolałbym, aby zabawiwszy dwie godziny w Skierniewicach, jechała do Ciechocinka, w moment jednak wyrzucałem sobie te egoistyczne życzenia i niczego już nie żałowałem: ani tego, że nie zobaczę się z przyjacielem moim emerytem w Skierniewicach, ani daremnego oczekiwania na mnie, kilku osób w Ciechocinku.

Po dziesięciu minutach znalazłem się znowu w tym samym wagonie i na tem samem miejscu. Zastałem tylko moję nieznajomę i jej sąsiadkę rozmawiające po niemiecku. Wtrąciłem się do rozmowy, — głównie chodziło mi o to, czy przy pomocy tej córy Giermanii, nie dowiem się czego o mojej czarującej damie, lecz ona wolała mówić o sobie: od razu dowiedziałem się, czego i sam domyśleć się mogłem, że się nazywa Szmit, a imię ma Amalija, że siostra jej, która dawno umarła, miała imię Luiza, że była wdową i nie miała żadnej bliższej rodziny i t. p. Słowem było to ze znanie ad generalia, z którego najskrupulatniejszy śledczy urzędnik byłby zupełnie zadowolony. Nieznajoma moja przerwała gadatliwość niemki.

— Poczciwa moja Szmit spowiada się panu z całą naiwnością. Poznałam tę kobietę wraz z jej mężem będąc u wód w Niemczech, posiadali tam domek, którego połowę wynajmowali przyjezdnym gościom; mieszkałam u nich kilka tygodni. Wkrótce potem mąż jej jako urlopowany podoficer, powołany do armii, zginął w wojnie z duńczykami; rodzina jej męża wyzuła ją z całego mienia. Nie mając dzieci ani bliższych krewnych, zbrzydziła sobie pobyt w własnym kraju, ofiarowała mi swoje usługi i zajmuje się u mnie domowem gospodarstwem, a obok tego córki moje korzystają od niej wiele z nauki niemieckiego języka, bo jestem tego przekonania, że jeżeli kobieta u nas ma znać jeden przynajmniej obcy język, to w takim razie daję pierwszeństwo niemieckiemu.

Co mnie to wszystko obchodzi, pomyślałem sobie, kiedy cała ta rozmowa nie daje najmniejszej, tak pożądanej przezemnie skazówki.

Mało zwracając uwagi na toczącą się dalej pogadankę, układałem w głowie plan takiej rozmowy, którąby niejako niechcący zniewoliła tajemniczą nieznajomę do wyjawienia swego nazwiska i miejsca pobytu. Już miałem na ustach pierwsze słowa, gdy pociąg stanął. Konduktor wygłosił — „Koluszki,“ i w tejże chwili niemka wskazując ku domowi stacyjnemu wymówiła nazwisko, którego niedosłyszałem; jednoczeście obie zabierały się do wyjścia z wagonu. Kobieta w grubej żałobie o kilka kroków stojąca spostrzegła wysiadające i podbiegłszy do wagonu, rzuciła się w objęcia mojej towarzyszki podróży; wtedy dosłyszałem te słowa przerywane łkaniem: „droga Maryniu! sama przyjechałam żeby cię zabrać, chociaż przez tydzień będziesz mi aniołem wśród mego ciężkiego zmartwienia.“ Kiedy już odchodziły, nieznajoma, której tylko imię przypadkiem zdobyłem, odwróciła się ku mnie i przyjaźnie wymówiła:

— Żegnam pana. Niemka także kiwnęła głową.

— Żałuję mocno, że podróż pani tu się skończyła—wybełkotałem pośpiesznie.

— Dziękuję za grzeczność—były jej ostatnie słowa.

Dalsza podróż nie miała dla mnie żadnego celu. Chciałem wysiąść i spróbować czy się na boku nie dowiem czego od niemki lub od kogo na foksalu, ale kiedym się do tego zabierał, konduktor trzasnął drzwiami, dodając:

— Proszę nie wysiadać—pociąg rusza.

W rzeczy samej musiałem jechać dalej. Minąwszy dom stacyjny, widziałem z drugiej jego strony stojący powóz, przy nim trzy kobiety; lokaj umieszczał za powozem walizę.

Wkrótce wszystko z oczów zniknęło. Osamotniony, oddałem się refleksyi; wstydziłem się jak żak schwytany na gorącym uczynku; wyrzucałem sobie niepotrzebną ciekawość pociągającą mnie do niekonsekwentnej podróży, której wynikiem był fatalny zawód. To znowu zrzucając z siebie winę, przypisywałem ją zastosowaniu siły pary do żelaznych kolei, przez co ludzie jadący razem, nie mają czasu poznać się nawet, gdy na takiej przestrzeni jadąc zwyczajną drogą mogliby dojść do stosunków największej zażyłości.

Wśród niezadowolenia i chaosu wyrzutów, pytałem sam siebie: co jest ich przyczyną?— naturalnie to, że nie poznałem bliżej kobiety z którą przebyłem kilkanaście mil drogi. „A co ci do tego kto ona,“ każdy powiedzieć mi może. Przepraszam—wiele się zna kobiet, wiele się z niemi rozmawia, ale o czem—Panie odpuść!... Tu znalazłem emancypantkę pojęć wyswobodzoną od hołdowania cudzym utartym lub spaczonym zdaniom; w jej zdrowem pojęciu i chociaż pobieżnem lecz pełnem znaczenia słowie o sprawozdawczej dziennikarskiej krytyce, o potrzebie specyjalnego pisma poświęconego sztukom, wreszcie o teatrze w ogóle i o operze w szczególe—znalazłem tyle pięknych myśli i wyższego poglądu, że wnet przestałem sobie wyrzucać awanturnicze zboczenie w mej podróży, i w rozmyślaniu przyszedłem do wniosku, że pasażerski wagon o wiele nie raz przewyższa komfortowe salony, w których bez wytchnienia słyszysz rozmowę o modach, strojach i zabawach. W Rokicinach wysiadłem, i okropne trzy godziny poświęciłem wypytywaniu się o moję nieznajomę, lecz pomimo najskrupulatniejszego opisania jej osoby, oraz tej, która ją z Koluszek zabrała,—nikt najmniejszego objaśnienia udzielić mi nie umiał. Za nadejściem pociągu z Granicy, znękany i znudzony rzuciłem się do wagonu, z którego wysiadłem nie w Ciechocinku lecz w Warszawie; bo jak powiedziałem na początku: „nieszczęście nie przychodzi nigdy jedno,“ — więc też z rozkładu jazdy wypadło, że żadnym już pociągiem dnia tego nie mogłem się dostać do pierwotnego celu mej podróży, na którą wolno mi było przeznaczyć tylko trzydzieści godzin czasu.— Dla tej to prostej przyczyny, zamiast wesolutkiego sprawozdania ze zdrowiadajnego Ciechocinka, daję czytelnikom moim niniejszą pogadankę.

Przegląd literacki.

Wykład chemii organicznej Karola Schorlemmera, przekład Józefa Boguskiego i Bronisława Znatowicza pod redakcyją Erazma Langera. Warszawa 1874, nakład Gebethnera i Wolffa. —Botanika dla niższych i średnich klas gimnazyjalnych i realnych Bolesława Jerzykiewicza. Poznań 1874 r. nakład Żupańskiego. — Pierwsze praktyczne poznajomienie się ze światem zwierzęcym według Augusta Lübena, nauczyciela w Bremie, opracował Bronisław Rejchman. Warszawa 1874 r. nakład redakcyi Opiekuna Domowego. — Świat i dzieci, czyli nauka o rzeczach, Augusta Jeske, część II.—Nauka o zwierzętach i roślinach, z tablicami kolorowanemi. Warszawa, nakład księgarni Stanisława Arcta w Lublinie.

Od czasu wydania przez b. profesora Szkoły głównej, Jakóba Natansona chemii organicznej, nie mieliśmy w naszej ubogiej litera-

turze naukowej podręcznika w tym przedmiocie, którego przecież potrzebę dawały uczuwać nowe zdobycze chemii. Wybór przez doktora Langera wykładów chemii organicznej Schorlemmera, uważamy za bardzo szczęśliwy. Jest to praca sumienna, prawie przedmiot wyczerpująca ze strony analitycznej, jakkolwiek pomija utylitarny dział tej pięknej nauki, z której przemysł w ostatnich latach pozyskał liczne zastosowania. Z drugiej wszakże strony gdyby w wyborze książki uwzględniono innego autora, złożyłaby ona przynajmniej tak pokaźne dwa tomy, jaki mamy obecnie przed sobą. Bądź co bądź publikacyja ta opiera się na najnowszych postępach nauki, daje nam dokładny obraz związków węgla, obznajmia z wielce złożonemi przetworami jakie otrzymano drogą syntezy, pozyskując kombinacyje wytwarzające się w organizmach. Chemija w przeciągu ostatnich dwudziestu lat, dokonała tak szybkich postępów, jakich żadna inna jej rówieśnica z nauk przyrodniczych nie zdołała dosięgnąć. W owych czasach rozdzielano chemiję na organiczną i nieorganiczną czyli uniwersalną. Dziś podział ten staje się niepotrzebnym—jedne bowiem prawa zarządzają tak w przyrodzie ożywionej jak i w nie ożywionej. Otrzymanie związków organicznych z pierwiastków je składających, drogą działań chemicznych, poczytywano naówczas za marzenia. Dziś rozwój chemii pozwala na urzeczywistnienie owych marzeń.

Kwiaty wytwarzają przeróżne wonie, powstające z zasad mieszczących się w ich organach. Zasady wonne stałe nazywamy *żywicami*, płynne zaś *olejkami*. Olejki koncentrują się w kwiecie jak to ma miejsce w róży i we fijołku—lub w korzeniu, czego przykład przedstawia nam kosaciec zwany włoskim. W cedrze i w sandale tkanka drzewna— w mięsie i w zielu paczulowem liściu—w roślinie strąkowej zwanej tonką nasiona—w cynamonie kora—są siedliskiem zasad woń wydających. Chemija nowoczesna wszystkie te zasady wonne sprowadza do trzech kategoryi ciał dobrze jej znanych: to jest do *węglowodorów, aldehydów i eterów*. Węglowodory, których przykładem mogą być olejki naftowe, przedstawiają najprostsze związki chemii organicznej, to jest kombinacyje węgla i wodoru. Aldehydy i etery mają skład więcej złożony, oprócz węgla i wodoru zawierają tlen. Każdy z nas zapewne zna alhohol zwany wyskokiem, lub po prostu spirytusem, ale mało kto wie z czego ten płyn się składa. Owóż alkohol jest połączeniem wodoru, węgla i tlenu; nie jest ono ani kwaśnem ani alkalicznem. Chemicy skład jego wyrażają przez 2 atomy węgla, 6 atomów wodoru, i jeden atom tlenu.

Istnieją też kwasy organiczne jakich typem może być ocet, w pewnej mierze zbliżające się do mineralnych. Owóż każdy alkohol, tracąc pewną część wodoru staje się *aldehydem*, a nadto każdy alkohol łącząc się z jakim kwasem przechodzi w *eter*.

Chemija nie ograniczyła się tylko na poznaniu pierwiastków i budowy wewnętrznej tych materyj, ale nadto zdołała odtworzyć je sztucznie. Dziś kamforę, olejek gorzkich migdałów, kminowy lub cynamonowy, chemik może otrzymać nie używając ani kamfory i migdałów, ani kminu i cynamonu. Nauka ta po tylu pięknych odkryciach nie spoczywa jednak na swych wawrzynach, lecz usiłuje nowe pozyskać. Obecnie w laboratoryjach odbywają się próby mające na celu wykrycie sztucznej fabrykacyi cukru. Wnosząc z dokonanych już przez chemiję postępów, nie wątpimy że to nowe jakkolwiek trudne jej zadanie, jest tylko kwestyją czasu.

Wracając do wykładów chemii organicznej Schorlemmera, spostrzegamy, że wszystkie związki autor grupuje około węgla; przyczyna tego bardzo prosta. Główne własności związków organicznych pochodzą z węgla, stanowiącego zasadniczą ich część składową, z tego go też względu autor przystępuje do zbadania chemicznej natury węgla, w pierwszym zaraz rozdziale swej publikacyi. Dalej książka jego obznajmia nas z budową związków węglowych, z ich analizą i formułami tudzież z własnościami tego rodzaju związków, a w końcu przechodzi do ich klasyfikacyi. Spotykamy się tu ze związkami systematycznie przeprowadzonemi, cyanu, karbonylu i sulfokarbonylu z parafinami, tudzież ze związkami rodników poczynając od jednoatomowych do sześcio atomowych. Następnie autor przechodzi do wodanów węgla, terpenów, kamfor i związków aromatycznych. Wreszcie rozbiera związki wieloatomowe, dwupierścieniowe i więcej jeszcze złożone.

Dla ścisłości tłumacze poświęcić musieli w terminologii czystość językową, nieznoszącą słów wielce złożonych, jakich tu przecież użyć wypadało że tak powiemy z konieczności. Złożoność taka właściwa językowi niemieckiemu musi ucho razić w naszym ojczystym. Czytelnik nieobznajmiony z wymaganiami nomenklatury, zgorszonym być może wielce terminem takim naprzykład jak: *Dwubromonitroacetonitryl*. Specyjalista przecież nie będzie szukać tu harmonii językowej, a po prostu znaczenia którému niezaprzeczenie ten wyraz 23 zgłoskowy wypowiada. Jakże bowiem inaczej wyrazić związek dwóch atomów bromu z nitroacetonitrylem? podobnież nie podobać się nam mogą terminy: Dwufenylrozanilina, eter pyrokatechinometylowy, etyldwumetylkarbinol, ortojednochlorfenol i t. p. A jednak pomijając terminologiję, język w całym przekładzie dzieła autora jędrny, czysty, jasny, co poczytać potrzeba za wielką zasługę pp. tłumaczom, biorąc pod uwagę trudności z jakiemi łamać się musieli. Czytelnikowi obznajmionemu z zasadami chemii przynajmniej elementarnemi, książka ta będzie wielce użyteczną, jeżeli w tej nauce znajduje zamiłowanie — dla innej też sfery publiczności nie była przeznaczoną. W ogóle pod względem jasności wykładu i czystości języka w tekście. dzieło Karola Schorlemmera nic do życzenia nie pozostawia. Pożyteczny ten podręcznik chemii zapełnia brak dotkliwy tego rodzaju publikacyi. Ze względu specyjalności książki, nie podajemy obszerniejszej jej analizy, szczegóły bowiem tej jakkolwiek ważnej pracy, nie obudzałyby w ogóle czytelników uwagi, na jaką zasługują niezaprzeczenie.

Z kolei przychodzi nam mówić o botanice P. Jerzykiewicza.

Autor tej książki zamiast przyjmowanej dotąd metody dedukcyjnej, użył indukcyjnej, to jest przechodzącej od szczegółów do ogółu, od rzeczy najprostszych do coraz więcej złożonych. Układ podobny ma niezaprzeczenie wyższość nad dawnym, wpływa bowiem dzielnie na stopniowy rozwój umysłu dziecięcego. Powinien być jednak systematycznie i umiejętnie przeprowadzonym. W naturze nie ma przerw ani przeskoków, istnieją węzły i zależności — w nauce podobnież jedno pojęcie łączyć się powinno jasno z drugiem. Owóż przerwy takie znachodzimy w botanice P. Jerzykiewicza—mała liczba elementów przedstawionych przez autora ułatwia z jednej strony uczniowi ich syntezę, ale natomiast nie pozwala mu złożyć w jedną harmonijną całość, wielu innych jakie autor pominął. Po krótkim wstępie obznajmiającym z podziałami botaniki ogólnej i szczegółowej, P. Jerzykiewicz przystępuje do opisu narzędzi roślinnych. Dział ten jest przedziwnie opracowany, zaleca go wszędzie wykład jasny i przystępny. W botanice szczegółowej autor podaje opis niewielu gatunków; dwa z nich wybrane porównywa z sobą pod względem zachodzących między niemi podobieństw i różnic, i na podstawie tychże odnosi gatunki do jednego lub dwóch rodzajów. Tak naprzykład w rozdziale II opisuje przetacznik łąkowy, jasnotę białą i purpurową, porównywa z sobą obie jasnoty, okazując, że na podstawie różnic anatomicznych należą te dwa gatunki do odmiennych rodzajów. O macierduszcze zaś, ożance i tymianku, cząberku, bazylii, józewku, lawendzie, rozmarynie, zielu paczulowem, nie znajdujemy ani wzmianki — chociaż do jednej rodziny wargowych należą. Odosobnione przykłady na traf wybrane, nie nauczą, a w żadnym razie nie mogą stanowić systematycznej metody, o którą przecież jak się zdaje autorowi chodziło.

W rozdziale III P. Jerzykiewicz porównywa z sobą rodzaje i gatunki, a w czwartym ostatnim mieści układy Linneusza, Jussieu'go, Decandolle'a zamykając wreszcie książkę przeglądem rodzajów, według układu Linneuszowego.

Pomijając powyższe usterki w planie, botanika P. Jerzykiewicza ma zalety niezaprzeczone pod względem jasności wykładu i czystości języka, i stanowi pożyteczną książkę, zwłaszcza ze względu zastosowania w niej metody indukcyjnej. *(d. n.)*

ZA WOJENNYM ŚLADEM

POWIEŚĆ
ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH
KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

Leokadyi P....

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ LIV.
Okrucieństwo.

Stała przed chatą gromadka z kilku kobiet po większej części młodych, i dwóch albo trzech mężczyzn, a po środku tego zgromadzenia Rube, pocieszający nieszczęśliwych.

Kobiety były nie poubierane, a niektóre w koszulach tylko, długie czarne włosy opadały

w nieładzie na ich ramiona, zdawały się być silnie pobite—bo na twarzach miały rany z których się krew sączyła, bo ręce i piersi miały pokaleczone, a pręga czerwona błyszczała na ich policzkach. Przy świetle księżyca wyglądało to jakby im w tem miejscu wypalono skórę.

Podjechałem bliżej żeby się przypatrzeć temu rodzajowi rany, i przekonałem się że to ślady żelaza rozpalonego do białości... a po środku piętna, rozpoznałem po ciemniejszym odcieniu, kontury dwu liter jakie nosiłem na guzikach mojego munduru — litery dobrze znane „U S“ (United—States.)

Kobieta która się najbliżej znalazła, wyciągnęła boleśnie ręce, a odrzuciwszy w tył długie i grube sploty zawołała:

— Widzisz pan to — widzisz!

Dreszcz mnie przeszedł gdym ujrzał straszny strumień krwi zakrzepłej — i gdym dostrzegł że nieszczęśliwa nie miała też uszów wcale.

Przekonałem się w tej chwili że ze wszystkiemi innemi postąpiono sobie równie barbarzyńsko, a okrucieństwo popełnione na dwu mężczyznach, przeszło wszelkie granice.

Ci biedacy wyciągnęli także ku mnie ręce lewe, bo prawe im poucinano..

Kobiety i mężczyzni tłoczyli się do około mnie, całowali mnie po nogach jęcząc i zanosząc prośby i żale.

Jedna z kobiet bogaciej ubrana od innych zwróciła szczególną uwagę moję.

Nie śmiałem zbliżyć się ku niej lubo stała opodal, bo mnie straszna jakaś ogarnęła trwoga...

Ale nie! powiedziałem sobie, to być nie może.... nędznicy nie ośmielili by się... Twoje nazwisko Senorito?..

— Conchita córka alkada...

I łzy popłynęły jej z oczów, mieszając się z krwią płynącą po twarzy.

— Chciałbym był płakać także! Biedny Wheathlej nie był z nami, cios nie dotykał go w tej chwili ale go nie minie... Krew mi zawrzała w żyłach i w moich żołnierzach.

Przeklinali, pienili się ze wściekłości, wyciągnęli pistolety i noże, żądając żebym ich poprowadził naprzód. — Nigdym nie widział podobnie groźnych uniesień, najspokojniejsi nawet upoili się wściekłością.

Zaledwie zdołałem ich namówić ażeby do końca wysłuchali opowiadania tego co się stało.

— Odgadliśmy to już dobrze co prawda, ale potrzeba nam było szczegółów, żeby wiedzieć jak się wziąść do rzeczy.

Kobiety opowiadanie zaczęły, ale że wszystkie razem mówiły, nie można było nic z tego zrozumieć.

Najlepiej pomógł nam jeden z mężczyzn, niejaki Pedro, zazwyczaj sprzedający mezcal żołnierzom — jego więc słuchaliśmy z uwagą.

Zaraz po wyjściu naszem z wioski, gierylasy wpadli doń z okrzykami: — Niech żyje Santa-Anna! niech żyje Meksyk — śmierć Yankesom! Wywalili drzwi w oberży pijąc mezcal i rabując wszystko co się znalazło pod ręką.

Ludność miejscowa przyłączyła się do nich. Pedro zauważył w tłumie dwa indywidua odznaczające się szczególniej, kowala i rzeźnika, a i kobiet znaczna liczba brała udział w napaści.

Podnieceni trunkiem nędznicy poczęli wrzeszczeć:

— Śmierć ayankejadosom! i tłuszcza rzuciła się ku domom ryczące piekielnie.

— Wyprowadźcie ich, niech zobaczymy się z nimi wrzaśnięto z tłumu...

Biedne młode dziewczyny na które patrzymy i ci co zostawali w dobrych stosunkach z Amerykanami, zostali wyprowadzeni z domów, zaciągnięci na plac w pośród przekleństw, świstania, i okrzyków dzikiego tłumu.

Pluto im w twarz, dawano najnikczemniejsze przezwiska, obrzucano błotem a nakoniec jakaś *„poczciwa dusza“* doradziła poznaczyć ich w ten sposób iżby przyjaciele Tekseńczycy, mogli ich rozpoznać kiedyś.

Projekt przyjęto z zapałem szczególniej przez kobiety — i postanowiono zaraz wprowadzić go w wykonanie.

— Sprowadzić kowala, odezwały się liczne głosy.

— Przynieść żelazo — przynieść żelazo — krzyczeli inni.

— Oberżnąć uszy! — ryczeli znowu inni.

Kowal i rzeźnik chętnie zabrali się do roboty.

Pierwszy posługiwał się żelazem na którem były wyryte litery, drugi spełniał czynność nożem jakiego używał w sklepie.

Większa część gierylasów była zamaskowaną tak jak i ich dowódcy, przypatrujący się temu co się działo, z tarasu domu alcady.

Pedro poznał jednego z nich pomimo przebrania — bo go zdradził jego olbrzymi wzrost i czerwone włosy — poznał mianowicie El-Zarra. Innych nie mógł wskazać zpewnością, nie wątpił jednak że była to banda Rafaela Iżurry, na co i my pisaliśmy się zupełnie.

Pedro mniemał że Iżurra pozostał jeszcze w wiosce po ucieczce jego i innych ofiar i obawiał się aby alcado nie doznał gorszego od nich losu. Przypuszczał że go zamordowano.

To ostatnie objaśnienie dał mi biedny chłopak po cichu, rzucając jednocześnie smutne spojrzenie na Conchitę.

Nie miałem odwagi dopytywać się o nic więcej.

Teraz podniosła się kwestyja czy posłać kogo żeby nam więcej ludzi sprowadził, czy czekać na tę pomoc, czy też bez straty czasu ruszać do wioski.

Pierwszą propozycyją odrzucono jednogłośnie, uznaliśmy się za dosyć silnych a interes nie cierpiał zwłoki.

Decyzyja podobna mnie szczególniej uradowała niezmiernie, dłużej czekać nie byłbym zdolny.

Kobietom poleciliśmy udać się do obozu szeregowców, a Pedro pojedzie z nami, siadłszy na konia z jednym z towarzyszy, potrzebny nam bowiem będzie do wykrycia przestępców.

Już mieliśmy ruszać w drogę gdy w tem nowa postać jakaś ukazała się na drodze, i skryła się spostrzegłszy nas po za krzakami.

Rube i Garej puścili się w pogoń i w pięć minut dostawili młodego Meksykanina albo jednę ofiarę więcej.

Ten opuścił teatr zbrodni trochę później od innych.

— Czy gierylasy znajdują się jeszcze na miejscu?.. zapytaliśmy go z obawą.

— Nie, opuścili już wioskę odpowiedział.

— W jakim się kierunku udali?.

— Poszli drogą po nad rzeką w stronę haciendy don Ramona de Vargas. Banda przeszła tuż obok mnie ukrytego w kukurydzy, słyszałem nawet głosy ich o dziesięć kroków od siebie.

— O czem mówili?..

— Śmierć wołali, zdrajcy i zdrajczyni, śmierć ojcu i córce—Śmierć don Ramonowi, śmierć Isolinie de Vargas!..

ROZDZIAŁ LV.

Biwak Gierylasów.

Nie słuchając nic dalej, zagłębiłem ostrogę w bok memu koniowi dopóki nie puścił się największym galopem, tak że moi ludzie pośpieszający za mną nie byli mi wstanie wydążyć.

Nie było już mowy o przewodnikach i ostrożnościach, galopowaliśmy co sił starczyło aby tylko przybyć na czas.

Trzymając się blisko brzegu rzeki, pędziliśmy prosto ku hacyjendzie don Ramona de Vargas.

Przestrzeń zdawała się pędzić łącznie z nami i ginąć z tumanami kurzu który się wznosił na drodze.

— Boże jeżeli przybędziemy za późno!

Nie śmiałem obliczać długości czasu jaki musiał upłynąć od chwili kiedy ostatnio sprowadzona ofiara, podsłyszała groźby rozbójników.

Upłynęła już pewno więcej jak godzina...

Było to o pięć mil od rozwalonej chaty a on pieszo podróż odbywał.

— Czy szedł dosyć prędko?..

— Tak—ale od czasu do czasu zatrzymywał się w krzakach i opuszczał je dopiero gdy przechodzących stracił zupełnie z oczu. Był więc przeszło godzinę w drodze, może nawet dwie—a tu jednej było dosyć do spełnienia pogróżek piekielnych.

— Nie—my nie przybędziemy na czas!..

Pędziliśmy co sił starczyło w zupełnem milczeniu, przerywanem tententem kopyt końskich i szczękiem wiszących u boków pałaszy. Nic nie mogło nas powstrzymać ani rowy napełnione wodą, ani głębokie a gęsto napotykane przekopy—nasze konie przeskakiwały jedne, przesadzały drugie, robiąc gwałtownie bokami z wielkiego zmęczenia.

W pięć minut byliśmy przy *„rinconada“* w miejscu gdzie droga rozchodziła się na dwie strony. Lewa prowadziła do wioski, a że nie spostrzegliśmy na niej nikogo, wzięlimy się na prawo to jest zmierzaliśmy wprost na hacyjendę.

— Jeszcze jedna mila a dostaniemy się na miejsce, jeszcze ćwierć mili a zobaczymy zabudowania, drzewa bo tylko zasłaniają nam widok...

— O Boże naprzód!

Co to jednak znaczy to światło? Czyżby słońce wschodziło od zachodu?—Czyżby to pożar był w lesie?—Skąd pochodzi to światło

żółtawe na pół zasłonięte drzewami?.. Nie jest że to światło księżyca?...

Boże! to hacyjenda się pali!

Nie—to niepodobna—Dom jest z kamienia a drzewa w nim tak mało żeby nie wystarczyło na podobny płomień.

Tak—nie to nie może być, i rzeczywiście nie było tak w rzeczywistości.

Wyjechaliśmy z lasu i oto hacyjendę mamy przed oczami. Stoi nietknięta wcale tylko ogromny ogień bucha pod jej bramą—a łuna odbijająca się w lesie, z tego właśnie ognia pochodzi.

Przypatrujemy się uważnie i spostrzegamy zdziwieni płonący ogromny stos suchego drzewa.

Na jaką intencyją może być ten fajerwerk palony?..

Na około ognia poruszają się różne postacie kobiet i mężczyzn, psów i osiodłanych koni. Ogromne ćwierci mięsa pieką się na gorących węglach, inne już upieczone rozrywają się w tej chwili z żarłoczną chciwością. Czy to dzicy stos otaczają?..

Nie, boć widzimy dokładnie twarze tych ludzi. Skóra ich biała a u mężczyzn czarne brody, ubrania bawełniane, płaszcze sukienne, szarawary z grubego aksamitu, pasy i uzbrojenie. Słyszymy wreszcie głosy rozbójników, słyszymy jak si śmieją, śpiewają, popijają pełnemi szklanicami...

To nie Indyjanie to obóz gierylasów, to banda której poszukujemy.

Powinienem był posłuchać głosu który mi radził aby ich otoczyć, ale krew zakipiała mi w żyłach nie chciałem stracić ani minuty z obawy aby się nie opóźnić.

Dwu czy trzech z moich żołnierzy byli zdania ażeby poczekać trochę a ci byli najrozsądniejsi jak się okazało później — inni jednak tak samo jak ja byli za atakiem bezwłocznym.

Rozkaz został wydany i w krótce jak charty spuszczone ze smyczy z krzykiem rzuciliśmy się na przód...

Wściekła to była prawdziwie jazda.

Nieprzyjaciel znał głośne hura Tekseńczyków a my krzyczeliśmy na całe gardło aby go nastraszyć chociaż i bez tego nie dotrzymaliby nam placu nigdy.

Te krzyki źle nam posłużyły niestety.—Banda rozproszyła się jak dzikie stado jeleni:

Ciężko było wspinać się naszym koniom na pochyły pagórek to też zanimyśmy się nań wdarli oddział gierylasów zmykał po ciemku co prędzej.

Sześciu tylko łotrów powaliły nasze kule a drugich pięciu dostaliśmy żywcem do rąk wraz z ich godnemi towarzyszkami. Jak zwykle jednak—zdołał i tym razem umknąć łotr o którego głównie chodziło.

Bezskuteczną byłoby rzeczą gonić uciekających którzy się ukryli w cieniu lasu po drugiej stronie pagórka. Zresztą coś ważniejszego zajmowało mnie w tej chwili.

Skierowałem konia na dziedziniec hacyjendy.

Dziedziniec ten dokładnie oświetlony od ognia przedstawiał obraz zupełnego zniszczenia. Bogate umeblowanie walało się porozrucane po werendzie i płytach kamiennych, połamane, porozbijane podarte. Wołałem po imieniu na don Ramona wołałem z całych sił na Isolinę echo mi tylko na to odpowiadało.

Zeskoczyłem na ziemię — pobiegłem pod werendę wołając ciągle ale żadnej znikąd odpowiedzi...

Latałem jak waryjat z pokoju do pokoju nigdzie jednak ani jednej żywej nie spotkałem duszy.

Cały dom był pusty — słudzy i dziewczęta kuchenne wszystko to gdzieś znikło zupełnie. Zdawało się że ja i mój koń jesteśmy jedynemi żywemi stworzeniami w tych murach, ludzie moi bowiem pozostali z więźniami przed bramą.

Jakiś promyk nadziei wstąpił mi w serce...

Może kto to wie — może posłuchali mej rady i opuścili dom przed napadem.

Cofnąłem się ażeby zapytać więźniów. Zarówno mężczyzni jak kobiety musiały coś wiedzieć przecie i będą mnie mogli objaśnić.

Jedno spojrzanie przekonało mnie że było już za późno wypytywać mężczyzn. Na dużem drzewie rosnącem w rogu budynku i oświetlonem głowniami wisiało sześciu trupów z głowami pochylonemi na piersi.

Objaśniono mnie że kowal był w ich liczbie że Pedro potwierdził tożsamość osoby.

Inni byli mieszkańcami z miasta i wszyscy brali udział w okropnych dnia tego wypadkach.

Sędziowie uwinęli się prędko z wykonaniem sprawiedliwości — uczepili arkany u gałęzi drzewa i przy pomocy tych stryczków improwizowanych wyprawili rabusiów ad patres.

Nie była to zemsta jakiej ja pragnąłem. Odwróciłem się do kobiet — uciekło ich sporo ale pozostało jeszcze z pół tuzina. Ich błędne oczy pokazywały że były pijane — jedne stawiały się hardo inne osłupiały ze strachu. Miały słuszność obawiając się o siebie.

W odpowiedzi na moje pytania potrząsły tylko głowami, nie dając żadnego objaśnienia. Jedne milczały uparcie jak muły, inne nie chciały nic powiedzieć o Ramonie de Vargas i o jego córce.

Groźby pozostały bez skutku, albo więc kobiety te nie wiedziały nic, albo nie śmiały opowiedzieć tego co zrobiono z osobomi o które pytałem.

Odchodziłem już zły i zdesperowany, gdy nagle oczy moje padły na osobę która się w cieniu muru chowała.

Krzyknąłem radośnie poznawszy małego Cyprio, wydobywającego się w tej chwili ze swojej kryjówki.

— Cyprio zawołałem.

— Ja panie odpowiedział spiesząc ku mnie chłopczyna.

— Powiedz mi Cyprio gdzie się państwo podzieli!.. powiedz mi tylko prawdę i prędko?..

— Panie złoczyńcy zabrali pana ze sobą ale tego niewiem gdzie...

— A senora?.. senora?..

— Oh! panie to rzecz okropna!..

— Prędko mów wszystko—tylko prędko — mój Cyprio.

— Ludzie w czarnych maskach wpadli na nas zrabowali dom i uprowadzili pana. Potem wyciągnęli donnę Isoline z pokoju na podwórze... Nieszczęśliwy nie mogę powiedzieć napewno co zbójcy z nią zrobili, ale nie była ubraną widziałem jak krew spływała jej z szyi na piersi. Kilku z tych łotrów poszło do stajni i kazało sobie przyprowadzić białego konia sprowadzonego ze stepów. Przywiązali donnę Isolinę na grzbiecie. Boże czemuś pozwolił mi patrzeć na coś podobnego?..

— Mów dalej...

— Wtedy senor kazali koniowi przepłynąć rzekę, wyprowadzili go na łąkę i wszyscy udali się za nim aby zobaczyć tę piękną jak mówili gonitwę. Ja nie poszedłem za nimi bo mnie zbili i zagrozili śmiercią, ale widziałem wszystko z pagórka — gdzie się w krzakach ukryłem. O Matko Boska!..

— Mów dalej — mów prędko.

— Wtedy senor przywiązali petardy do konia i zapalili takowe a potem puścili cugle i koń puścił się galopem straszony racami które pękały po za nim i poniósł na sobie Isolinę. Biedna Senorita. Śledziłem za koniem, tak długo dopóki go nie straciłem z oczu zupełnie. Ah! mój Boże — biedna panienka nasza — zapewne zgubiona!

Słabo mi się zrobiło — nie byłem w stanie odetchnąć.

— Wody! Rube — Garej — moi przyjaciele wody dajcie mi wody.

Zrobiłem wysilenie aby się zaczołgać ku wodotryskowi stojącemu w dziedzińcu, ale ledwiem zrobił trzy kroki siły opuściły mnie zupełnie — i padłem na ziemię nieprzytomny.

d. c. n.

Listy z Niemiec.

II.

Emancypacyja kobiet w Niemczech.—Osłabienie skłonności w młodzieży do zawierania małżeństw.—Ogłoszenia kandydatów i kandydatek do małżeństwa w gazetach lipskich i berlińskich.—Drezno w różnicy od Lipska i Berlina.—Łużyczanie. Nabożeństwa Łużyczan w kościele królewskim w Dreźnie.—Galeryja drezdeńska.—Madonna sykstyńska.—August III wobec dzieła Rafaela.— Fizyonomija Saksonii.—Ziemia szląska.—Gospodarstwo i dobrobyt.—Nazwy polskie w niemieckiej szacie.

Zdawaćby się mogło, że wszelkie postępowe ideje najszybciej przyjmować się i rozwijać powinny wśród narodu, który rozwojem nauki i oświaty nad inne spółczesne wywyższyć się potrafił. W Niemczech jednak ideja emancypacyi albo raczej wyzwolenia i równouprawnienia kobiet, pomimo powodzenia jednostkowych usiłowań, dotychczas, podobnie jak u nas, nie zespoliła się z myślą ogółu, jako konieczna na dzisiaj i zbawcza dla przyszłości reforma. Nie znajduje ona przedewszystkim należytego uznania u większości mężczyzn żonatych, którzy, zadowoleni z roli i zakresu domowych zajęć swych pracownic, obojętni na przewyżkę 148,000 kobiet pomiędzy ludnością pruską, od lat 20 do 40,(*) tudzież na 1,205,200 kobiet niezamężnych pomiędzy rokiem 20 a 30-ym, nie życzą sobie bynajmniej reform w domowem i społecznem stanowisku kobiety.

(*) U nas na 5 $^{1}/_{2}$ milijonów ludności przewyżka liczby kobiet wogóle nad liczbę mężczyzn wynosi przeszło 180,000.

Jak w innych krajach, tak i w Niemczech statystyka corocznie wykazuje zmniejszający się stale stosunek zawieranych małżeństw do ogólnej ludności. I tu, jak wszędzie, winę ciągłego osłabiania skłonności do zawierania małżeństw dźwigają mężczyźni, odwodzeni zresztą od tych związków przyczynami, natury przeważnie ekonomicznej. Stało się też w Niemczech zwyczajem, że płeć piękna ogłasza w pismach swą gotowość wstąpienia w stan małżeński, wyliczając przytem wszelakie przymioty; które kwalifikacyją małżeńską w korzystnem wystawiają świetle. W leżącym np. przed nami N. 195 „Leipziger Tageblatt'u" czytamy: „Eine alleinstehende Wittwe, aus achtbarer Familie von liebevolem, sanftem Charakter, wirthschaftlich, wünscht sich zu verheirathen mit älterem Herrn" (Samotna wdowa z zacnej familii, uprzejmego i łagodnego charakteru, gospodarna, życzy sobie wyjść za mąż za człowieka starszego &). Wtymże dodatku spotykamy odmiennej wprawdzie barwy, ale niemniej charakterystyczne i u nas wcale nieznane ogłoszenie o pożyczce pieniędzy, tego rodzaju: „Ein anständiges Mädchen bittet edeldenkenden Menschen um ein kleines Darlehn von 15 R. Th. auf pünctliche Rückzahlung." Bywają też zdarzenia, że niejeden młody człowiek przy całodziennych zajęciach swoich nie ma sposobności bliższego poznania kobiet w towarzystwach; w zamiarach tedy rozstania się z celibatem ogłasza publicznie swe chęci, wzywając płeć interesowaną do wejścia z nim w bliższą korespondencyją. Co dziwniejsza, pośrednictwa takiego używają ludzie wcale zamożni i ze stanowiskiem. Bankierowicze, baroni („Ein geboren junger Baron„), lub młodzi posiadacze, „którym zbywa zupełnie na znajomości kobiet," poszukują na tej drodze towarzyszek życia („Ein junger Mann 25 Jah., Inhaber eines flotten Geschäfts, sucht, da es ihm gänzlich an Damenbekanntschaft fehlt, auf diesem Wege eine Lebensgefährtin" N. 214 Beilage z. Leip. Tag.). Naturalnie, jak w każdych finansowych i handlowych operacyjach, tak i w podobnych poszukiwaniach towarzyszów i towarzyszek życia, możliwe są i praktykują się nierzadko upozorowane oszustwa i szwindle przeroźmaite. To też objawienie prawdziwych intencyj zastrzega się z góry tytułem „rzeczywistego poszukiwania małżeństwa" (Reelles Heirathsgesuch). Że środki te przynosić muszą pewne usługi stronom interesowanym, wątpić nie można; najlepszym zaś dowodem istotnej potrzeby podobnego pośrednictwa jest założenie ostatniemi czasy powszechnej gazety małżeńskiej w Berlinie (D. allgemeine Ehezeitung), która sprawy kojarzenia małżeństw traktuje poważnie, jak każdą inną specyjalność. Czy organ ten wpłynie na zmniejszenie w Prusach półtora-milijonowej liczby kobiet niezamężnych w wieku od lat 20 do 40-tu, pokażą to wykazy statystyczne lat najbliższych. Tymczasem jednostki, przejęte ideą postępu, w imię rozumu, sprawiedliwości i interesu samego społeczeństwa, nie przestają się krzątać około usunięcia istniejących ograniczeń i otwierania coraz nowych źródeł pracy kobiecej, by ofiarom bez posagu dostarczyć środków zarobkowania i tem samem zapewnić im byt niezależny.

Już w jednym z poprzednich listów zrobiłem uwagę, że zarówno w Berlinie, jak i Lipsku tak zwana płeć piękna wcale piękną nie jest. Zauważono w Niemczech dziwną, bo na pozór zależną od szerokości gieograficznej, równowagę estetyczną pomiędzy ludnością męzką a żeńską: W krajach północnych, począwszy od 54-go stopnia szerok. gieogr. przeważa typ mężczyzny przystojnego obok kobiet wcale nie odznaczających się pięknością. W miarę posuwania się ku południowi typ mężki o rysach pięknych staje się coraz rzadszym, kobiety zaś coraz przystojniejsze. W Saksonii np. kobiety nierównie przystojniejsze, aniżeli w Brandenburgii lub na Pomorzu. Pomijając Lipsk, który jest więcej miastem ogólno-niemieckiem, niż saskiem, w Dreźnie różnica ta już jest znaczną: przystojne i piękne kobiety nie należą tu już do osobliwości, jak to ma miejsce w Berlinie lub Lipsku.

Miasto samo, w pięknem, po obu stronach Elby położeniu, nierównie przyjemniejsze i tańsze od innych miast niemieckich, nic dziwnego, że ściąga do siebie na dłuższy lub krótszy pobyt znaczną liczbę cudzoziemców. Anglicy stanowią tu jakby osobną koloniją i zamieszkują oddzielny cyrkuł miasta, corocznie nowemi pięknemi domami przyozdabiany. Najpowabniejszem miejscem codziennej przechadzki dla mieszkańców Drezna jest taras brylowski obok brylowskiego pałacu, z pięknym widokiem na Elbę, ruchem licznych statków ożywioną. Na tarasie tym koncerty (soirées musicales) doborowej muzyki, każdego wieczora sprowadzają tłumy drezdeńskiej publiki.

Wiadomo, że Drezno na prawym brzegu Elby było pierwotnie na początku XIII-go wieku osadą Serbów Łużyckich, zwaną Draždžanami. Później nieco w tymże wieku obok nich na lewym brzegu rzeki usadowili się Niemcy, i od tego czasu datuje się tu wpływ i ciągle wzrastająca przewaga pierwiastku niemieckiego nad słowiańskim. Dziś zacieśniły się znacznie granice tych potomków starożytnych Milczan. Po ośmiu wiekach życia wśród nieustającej walki z Niemcami, o zachowanie narodowej spuścizny po ojcach, obecnie ludu tego żyje niespełna 200,000 na przestrzeni mniej więcej 60 mil kwad. gieogr., pod dwoma rządami: saskim i pruskim. Do Saksonii należy część Górnych Łużyc, składająca w tym królestwie okrąg Budyszyński (Bautzen-Kreisdirectionsbezirk), do Prus zaś pozostała większa część Górnych Łużyc, stanowiąca część regiencyi Lignickiej, i Dolne Łużyce, będące częścią regiencyi Frankfurckiej z miastem Chociebużem (Kottbus). Życie umysłowe i narodowe piśmiennictwo rozwija się nierównie pomyślniej u Górnych Łużyczan w Saksonii. W rozbudzeniu tego ruchu i gorliwem podtrzymywaniu go nieocenione położyli zasługi: Jan Smolar, Kuciank, dr. Pful, Jencz, Hórnik i wielu innych. Dopiero od 4-ch dziesiątków lat mieszkańcy Górnych Łużyc w Saksonii mają zapewnioną rządowemi postanowieniami możność używania ojczystego języka w szkole, kościele i sądzie. Nawet dla Serbów łużyckich, mieszkających w Dreźnie, wyjednano w 1849 r. pozwolenie odbywania w tem mieście 4 razy do roku nabożeństwa w ich ojczystym języku. Katolicy dotąd odbywają to nabożeństwo w kościele królewskim czyli dworskim, gdzie czytamy w języku serbo-łużyckim takie obwieszczenie: „Wozjevjenjo za katholskich Serbow w Drježdžanach a wokołności. Serbske bože słužby za katholskich Serbow budža so w lěće 1874 džeržeć: 22 februara, abo 1 njedželu posta i t. d." Serbowie zaś ewangielicy również w serbskim języku odbywają nabożeństwo w kościele św. Krzyża (Kreutzkirche).

Drezno dzisiejsze zarówno pod względem handlu jak i przemysłu dość podrzędne w liczbie miast niemieckich zajmuje miejsce. Wielką zaś sławę zjednało sobie swemi zbiorami naukowemi i artystycznemi. Pomijając bogatą biblijotekę królewską, zbiory monet, antyków, porcelany i innych osobliwości w „pałacu japońskim," pomijając także muzeum historyi naturalnej i muzeum historyczne we wspaniałym czworoboku „Zwinger'u," wspomnimy tylko o sławnej na cały świat galeryi obrazów, zajmującej jeden z boków tegoż Zwingeru. Zawiera ona skarby, złożone z mnóstwa dzieł i wielu arcydzieł malarstwa (liczba wszystkich obrazów wynosi 2360), przez 3 wieki starannie nagromadzone. Spotykasz tu przedstawicieli szkół włoskich (rzymskiej, lombardzkiej, weneckiej, bolońskiej, genueńskiej), hiszpańskiej, niderlandzkiej i innych. Mistrzowie: Rafael, Correggio, Tintoretto, Tycyjan, Guido Reni, Murillo, Rubens, Rembrandt, Van Dyk, Holbein, Leonardo da Vinci i wielu innych stają tu przed twemi oczyma z pierwowzorami nieśmiertelnych swych tworów. Perłę jednak pomiędzy temi nieocenionej wartości artystycznemi skarbami stanowi Madonna sykstyńska Rafaela. Obraz ten na płótnie 2,65 metra wysokości i 1,96 szerokości, za szkłem, w osobnym narożnym gabinecie galeryi, tworzy rodzaj ołtarza, przed którym wśród głębokiej ciszy staje widz, by się napawać nieporównanem pięknem oblicza Madonny z dzieciątkiem na ręku, promieniejącej wdziękiem niezwykłej prostoty, a obok tego smętnym wzrokiem w przyszłość spoglądającej. Arcydzieło to dla galeryi drezdeńskiej nabył w 1754 r. August III od benedyktynów w Piacenzy za 60,000 talarów (40,000 scudi romani) z dodatkiem dokładnej kopii tejże samej wielkości, wykonanej przez Nogari'ego, wenecyjanina, którą benedyktyni na miejscu oryginału w wielkim ołtarzu swego kościoła umieścili.

Według podania, dotyczącego sprowadzenia tego obrazu do Drezna, kiedy przyniesiono go do sali tronowej i zwlekano nieco z ustawieniem, gdyż miejsce, gdzie padało najkorzystniejsze światło, zajmował tron królewski, zniecierpliwiony August usunął tron własną ręką (mit eigner hohen Hand), dodając przytem: „oto miejsce dla wielkiego Rafaela!" (Platz für den grossen Raphael!). Był to, według niemców, hołd oddany przez władcę kraju potędze nieśmiertelnego gieniuszu.

Gdy od tych niezliczonych zabytków sztuki przyjdzie ci zwrócić wzrok na zewnętrzną fizyjonomiją kraju, jego wiosek murowanych, pól umiejętnie i starannie uprawnych, oraz dróg wzorowo utrzymanych, i gdy wszędzie spostrzegasz dotykalne dowody dobrobytu, ja-

ko skutki rozpowszechnionej oświaty, gospodarności i pracowitości ludu, mimowoli przenosisz się myślą na ojczystą ziemię, i przekonywasz się, że rzadki zaledwie jej kącik rolniczy, jakietakie porównanie z temi ogólnemi cechami saskiej krainy wytrzymać może.

Te same oznaki dobrobytu wiejskiego zauważysz i na ziemi szląskiej, bo też na tych samych mniej więcej warunkach opiera się ustrój życia ekonomicznego szlązaków. Po wsiach z ust ludu wszędzie usłyszysz tu mowę jego rodzinną, polską, wśród której tylko od czasu do czasu uderzają twe ucho widoczne ślady giermanizmów, takie jak „jo,“ zawsze używane zamiast przysłówka twierdzącego „tak“ (niemiec. „ja“) „Wojtek umyślił iść na wander“—„dali go na służbę za hausknechta“—„wygnał go fort“—„wzion swoje zachy“ (t. j. rzeczy),—„siedział w gefengnisie bez pół lata“ i t. d. W mowie tej jednak odwieczne nazwy miejscowości, takie jak: Dąbrowa, Opole, Leśnica, Sławęcice, Świętochowice i t. d. i t. d. utrzymują się dodziś w pierwotnej przyrodzonej swej formie, pomimo, że obleczone w urzędową szatę, przybrały sztuczną powierzchowność: Dambrau, Oppeln, Leschnitz, Slawencice, Schwintochlowitz, Schoppinitz i t. d., jak tego interesa cywilizacyi niemieckiej rzekomo wymagają!

Tak przykłady przywiedzionych tu nazw zniemczonych, jak i wypadki pojedyńczych rodzin, tu i owdzie germanizacyjnym wpływom uległych, są skutkami długiego łańcucha przyczyn, wiążącego stan obecny tej pięknej krainy z dziejami jej dawno minionej przeszłości...

Ad. Ant. Kryński.

ŚLADY ŻYCIA.

XXI.

Tyle życia, ile... w c z y n i e.

Gazeta Polska podnosi kwestyją *stanu sanitarnego wiejskiej ludności naszej.* W samej rzeczy podlega ona większej daleko śmiertelności niż za granicą. Przyczyną tego jak słusznie zauważyła Gazeta jest brak dostatecznej liczby lekarzy w zakątkach prowincyi. Chory nieraz kilka godzin lub dni nawet kilka oczekiwać musi na pomoc, a następnie na lekarstwo a śmierć nie czeka łaskawie.

Lecz wrócić też tu należy uwagę na drugą równie ważną przyczynę. Zabobonny wieśniak ma silne uprzedzenie do lekarzy, wierzy w popularne medicamenta tak zwanych znachorów i znachorek — i do nich w razie choroby się udaje.

By zmienić obecny stan rzeczy i zachęcić lud nasz do używania właściwej pomocy, koniecznem jest powiększenie liczby lekarzy na prowincyi. Prócz tego każdy z nich winienby zawsze mieć z sobą małą apteczkę podręczną i felczera do pomocy.

Niemniej ważnem jest, odwodzenie wieśniaków od używania swoich ulubionych popularnych lekarzy. Staranie ostatnie zostawiamy duchowieństwu i w ogóle tym wszystkim, którzy mając poważny wpływ na umysły wieśniacze, potrafią z łatwością wytłomaczyć im zgubne skutki tych mniemanych leków.

W końcu b. m. urządzoną będzie *zabawa loteryjno-fantowa, w Parku Aleksandryjskim na korzyść szpitala Pragskiego.* Zakład ten, więcej jeszcze, jak inne tego rodzaju instytucyje, zasługuje na poparcie ogółu z tego względu, iż służy zwykle za ostatnie schronienie najuboższej klasie ludności naszej. Nie wątpimy, że ogół nasz skory zawsze do niesienia pomocy nieszczęśliwszym współbraciom, nie odmówi i tą razą hojnego poparcia, i wedle możności zechce przyczynić się do ulżenia niedoli, najbardziej zasługującym na to biedakom.

Łaskawi ofiarodawcy proszeni są przez Zarząd o nadesłanie fantów swoich do kancelaryi Szpitala.

Jeden z szan. nestorów piśmiennictwa naszego p. *K. Wł. Wójcicki*, jest niezmordowanym w odgrzebywaniu pamiątek zamierzchłej przeszłości. Obecnie znowu udarował nas świeżo wydanem dziełkiem p. t. *„Z dawnych dziejów i wspomnień naszego stulecia.* O pracy tej nie omieszkamy wkrótce dać we właściwem miejscu obszerniejszą wzmiankę.

W zapisie 125 tysięcy rubli zmarłego niedawno bankiera tutejszego *Mejera Bersohna*, jest także pomiędzy innemi legat na *szpital dziecięcy wyznania mojżeszowego.* Ponieważ zapis został już zatwierdzony przez władzę, nabyto więc grunt przy ulicy Siennej, i budowa szpitala wkrótce się rozpocznie.

Na korzyść rodziny *Wł. Świeszewskiego*, który lat kilkanaście z prawdziwym pożytkiem na scenie naszej pracował, a w r. z. uległ ciężkiej chorobie umysłowej—amatorowie dać mają wkrótce dwa przedstawienia w teatrzyku dobroczynności.

P. Izydor Zinberg wydawca i właściciel zakładu litograficznego, przedsiewziął wydawnictwo p. t. *„Skorowidz Królestwa Polskiego“* czyli spis alfabetyczny miast, osad, wsi, folwarków, kolonij i w ogóle wszystkich nomenklatur kraju. Jeżeli obrobienie będzie dokładne — Skorowidz o jakim mowa może być pożądaną książką — podobny bowiem podręcznik z r. 1827 — z powodu licznych zmian jakie zaszły od owego czasu — jest już bez wartości.

W tych dniach w Paryżu odbyła się licytacyja prywatnego zbioru autografów, między któremi znajdowała się dość znaczna liczba polskich, a między innemi następujące: List Stefana Batorego z r. 1575; list Jana Kazimierza z r. 1647 do kardynała de Bouillon; Katarzyny z Opalińskich, żony Stanisława Leszczyńskiego; Maryi Leszczyńskiej, żony Ludwika XV-go; Maryi Kazimiry, żony Jana III datowany z Warszawy 27 sierpnia 1696 r.; Maryi Ludwiki Gonzagi, z Warszawy, 30 grudnia 1645; list Tadeusza Kościuszki pisany po francusku, w Paryżu, 8 lutego XIV r. rzeczypospolitej; list Mazepy, z podpisem: „Joan Mazepa, ataman, podpisał własnoju rukoju.“ Wszystkie te autografy nabyła hrabina Małachowska. Z obcych, poszły tam na sprzedaż listy: La Fontaine'a, Fenelona, Marcina Lutra, Lukrecyi Borgii do jej męża księcia Ferrary, wreszcie list ś. Wincentego a Paulo.

ROZMAITOŚCI.

Smutne objawy manii popychającej do samobójstwa, dosięgają już nawet młodzieniaszków, a nawet i dzieci. W Radomiu, w tych czasach dwudziestoletni P. wyszedłszy z bronią pod pozorem, że idzie na polowanie, w ogrodzie odebrał sobie życie wystrzałem, z powodu niepodzielanej miłości. Przed tygodniem znowu, jak donosi „Wiek“ wyratowano z wody w Wiedniu d z i e w i ę c i o l e t n i ą dziewczynkę, która z mostu Zofii rzuciła się do Dunaju. Wyratowana nie chciała wyjawić przyczyn, jakie ją do tego kroku skłoniły, aż dopiero zdradził ją list, przy niej znaleziony, a z niego dowiedziano się, iż podobnież zawiedziona miłość była przyczyną rozpaczy.

* * *

Artyści—polacy, stale lub czasowo mieszkający w Monachijum, zawiązali między sobą „Towarzystwo koleżeńskiej pomocy.“ Według brzmienia ustawy, członkiem towarzystwa może być każdy artysta—polak, samoistnie w Monachijum pracujący. Członek każdy obowiązany jest na rzecz ogółu namalować co rok jeden obraz, w cenie zmniejszonej do $^1/_5$ rzeczywistej jego wartości, to jest do 200 guld. (120 rs.) za utwór ceniony zwykle na 1000 guld. Dziesięć takich obrazów składa seryją, z których każdą Towarzystwo sprzedaje po 2000 guld. (1,200 rs.) Zebrany tym sposobem fundusz rozdziela się na dwie części: z tych jedna stanowi kapitał żelazny, druga użytą zostaje na pomoc doraźną t. j. na pożyczki dla niezamożnych artystów, od których zaciągający je płacą po 6%, albo na wsparcie jednorazowe w razie choroby. Z czasem po odpowiedniem zwiększeniu się kapitału żelaznego, jest zamiar utworzenia jednego lub kilku stypendyjów.

OGŁOSZENIA.

W dalszym ciągu wydawnictwa dziełek oryginalnych pod ogólnym tytułem *„Wychowanie Domowe“* wyszły z druku i w ciągu tygodnia pp. prenumeratorom rozesłane zostaną wypisy polskie czyli

Książka do czytania

dla Dzieci

ułożona i wstępem opatrzona

przez

D-ra Piotra Chmielowskiego.

Дозволено Цензурою. Варшава 13 (25) Мая 1875 г.- W drukarni E. Skiwskiego,—Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.